

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III Kraków, dnia 17 listopada 1946 r.

Nr 46 (103)

KONSTANTY GRZYBOWSKI

Za Oceanem i nad Sekwaną

Wybory w Stanach Zjednoczonych ujawniły jedynie to, czego społeczeństwo amerykańskie sobie nie życzy; natomiast wybory francuskie wykazały, czego sobie społeczeństwo francuskie życzy. Różnica ta, której skutkiem jest trudność oceny następstw wyborów amerykańskich a względna łatwość oceny następstw wyborów francuskich — wykazuje równocześnie, jak pozytywną i dodatnią rzeczą dla życia politycznego jest istnienie partij politycznych o zdecydowanym i jasnym programie. O ile uczciwiej przedstawiać jest wyborcom programy a nie nazwiska.

Wybory amerykańskie dały zwycięstwo republikanom, przyniosły klęskę demokratom. Naczyło, iż wyborca amerykański nie jest zadowolony z prezydenta Trumana. Ale co to mówi o przekonaniach społecznych wyborców? Odpowiedź jest trudna: zdaje się, że demokraci utrzymali swój stan posiadania tam, gdzie reprezentował ich kandydat postępowy, stracili go tam, gdzie ich kandydat uchodził za związanego z wielkim kapitałem — czyli wyborcy ostrzegli demokratów przed porzuceniem drogi Roosevelta, a tam, gdzie mieli do wyboru między anty-rooseveltofskim demokratą i kandydatem republikańskim, woleli, oświadczając się za republikaninem, dać wyraz niezadowoleniu z Trumana i jego otoczenia. Zatem: duży odłam wyborców amerykańskich chętnie przywrócił o stanowisku wyraźnie postępowym pod względem socjalnym. Niemniej — sukces republikanów świadczyłby, że zagadnienie to nie jest jeszcze dla wyborców amerykańskich zagadnieniem zasadniczym. Ale jakie to ma znaczenie w stosunkach międzynarodowych? Zdaje się, że protest przeciw popieraniu odbudowy Europy drogą państwowo zorganizowanej pomocy amerykańskiej, odpowiadającej Europie, by na ten temat rozmawiała nie z amerykańskimi politykami, ale z amerykańskimi przemysłowcami. I — zdaje się — odpowiedź, że nie należy się spieszyć z nawiązywaniem bliższych kontaktów ze Związkiem Radzieckim, ale też nie dążyć do konfliktu, który nie jest ani pożądany ani nawet możliwy. Dla nas w końcu — nie bez

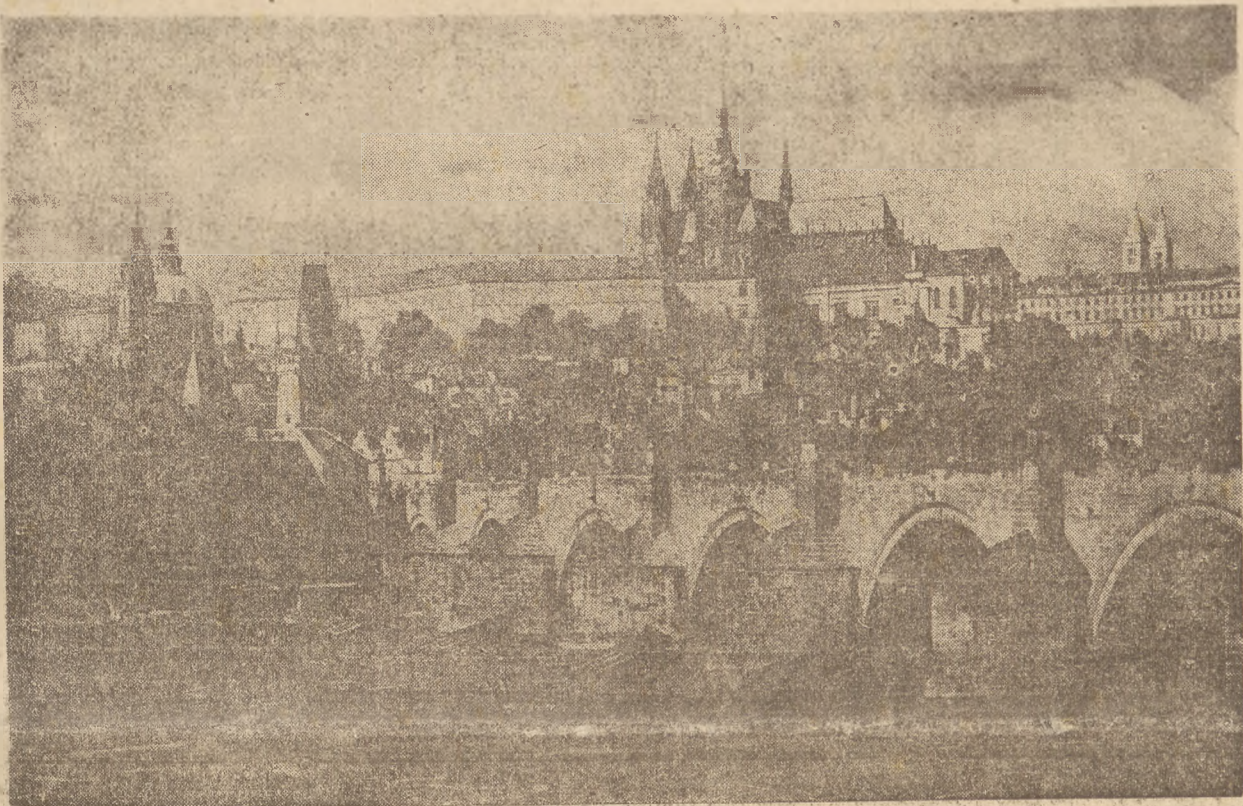
znaczenia jest fakt, iż od roku 1917 w ogromnej większości głosują na republikańców obywatele amerykańscy pochodzenia niemieckiego, że przedstawiciele Niemców amerykańskich są dziś wśród rządzącej większości a nie wśród opozycyjnej mniejszości.

Wybory francuskie przyniosły suk-

ces komunistom, radykałom socjalnym, klasce degaullistom i porażkę socjalistom. Jeśli grupa, której zawołaniem jest nazwisko de Gaulle'a, i która popiera jego program konstytucyjny, zyskuje tylko 9 mandatów, oznacza to, iż Francja nie chce jego rządów. Jeśli komuniści zdobywają

o ćwierć miliona głosów i o 20 mandatów więcej niż w poprzednich wyborach — oznacza to, że wyborca francuski skłania się ku stronnictwom o jasnej i zdecydowanej linii politycznej. To samo wydaje się być przyczyną porażki socjalistów.

Blum jest bezsprzecznie człowie-



Panorama Pragi

JULIAN PRZYBOS

W PRADZE PO LATACH

Franciszkowi Halasowi

Tylko oddał niezmieniona zachowała głos? czy zarys:
pomnik śpiewu — czy milknięcia?:
dwie wieżyczki radia nad Petrinem.

Od brzegów pamięci
po niewysłowionem płyne,
wlny Vltavy oszlochały Karluv most.

Tylko niosę tamten cień swój ocalony w starym płaszczu.

Jakby po mnie każdy kamień tu zadumał się i zaczął
i głęboko, aż do bólu się zarył —
nie zmieściło się co czułem — w jednej mowie;
dzisiaj znowu je szepcę.

I powraca zewsząd, znikąd
jak przysłówie,
gdy mówisz je, uwolnione z dwu języków,
w moim wierszu, przełożonym na Twe serce.

Praha, 10. X. 1946

Konstanty Grzybowski

ADOLF RUDNICKI

Przedmowa do drugiego wydania „Doświadczeń”*)

Gdy jesienią 1938 roku wręczyłem tę książeczkę mojemu dotychczasowemu wydawcy, niewiele było w mnie wiary. Spodziewałem się trudności.

Z pól zebrano żyta, opustoszała prowincja. Ci, którzy powyjeżdżali na lato, wcześniej popowracali do miast, aby przede wszystkim być razem z bliskimi. Lepka, winna, malowana przez aniołów ogrodników jak każda jesień, w roku 1938 była ona duszna. Wojna nerwów właśnie się zaczynała. Policjanci po cichu przynosili karty mobilizacyjne. Ojczyzna podeszła blisko, napierała jak mur na ślepcę, w mieszkaniach była dotykalna jak chleb na stołach i jak chleb zrobiła się cenna. A troska spoglądano na armie.

Książeczka, którą wręczyłem, roz-
waża właśnie sprawy wojska. Rzecz-
ta przez pisarza powinna falo-
wać, falując powinna zmieniać bar-
wy, jasne powinny ustępować ciem-

nym, których dosyć w każdym zjawisku. Czy była to jednak pora na punktowanie ciemnych stron armii?

Ten powód natury społecznej, wystarczający, aby usprawiedliwić moje obawy, gdy wręczał skrypt, po party był jeszcze innym. Miałem za sobą tom „Żołnierzy”. Wydany w wieku, „gdy inni zaczynają od wierszy lirycznych” (słowa Witolda Gombrowicza), wyculił sfery wojskowe na moją osobę. Najśluszniej w świecie! Byłem młodym dzikusem, przekonany, że każde zadrażnienie musi być odnotowane, a rachunek pokazany społeczeństwu. To, że mnie za „Żołnierzy” jedli, jest zrozumiałe. Ale to, że znalazłem równie gorących obrońców, nie przynosi ujmy Polsce przedwzięsniowej.

„Żołnierze“ ukazały się w roku 1933. Teraz była jesień 1938, superlatywy dawno wyziębły, zarzuty jednak przetrwały. Rządziła armia. A dla armii ja byłem starym wrogiem. Nikt prawdopodobnie nie nie mówił wydawcy, ale sam rozumiał,

że nie pora udzielać głosu autorowi „Żołnierzy”. Myślenie społeczne nie jest fikcją.

Mój skrypt był wygłaskany, wymuskany, **literacki**, patriotyczny, obywatelski, pozbawiony pasji — był jakże inny* od tamtej książki o wojsku! — nie mu nie pomogło. Otrzymałem go z powrotem. — Są tematy, którym **pan** powinien dać spokój — rzekł do mnie wydawca. — Jakie te tematy? — Wojsko i Żydzi. A pan jak nie o jednym, to o drugim. Zgubiony człowiek...

Co robił autor w Warszawie w latach przedwojennych, gdy szanujący się wydawcy pokazali mu drzwi? Szedł na Senatorską do Mariana Sztajnsberga, właściciela firmy F. Hoesick. (Figę mamy, a nie literaturę, jeśli gluchو dotąd o tym najfantastyczniejszym z ludzi). Marian Sztajnsberg nie bał się nikogo na świecie, nie bał się więc i armii. Kupujących książki niewiele jak wiadomo jest w odczyźnie, to nie oni zapelniali sklep na Senatorskiej.

Przychodzili tam dwójkami rodzaj ludzki: autorzy z pieniędzmi na wydanie utworów, których nikt nie chciał wydać, i papiernicy, drukarze, graficy, kliszarze, lichwiarze, by wyegzekwować swoje należności. Czy więc pieniądze przyniesione przez autorów trafiały — po pewnych potrąceniach — do rąk papierników, drukarzy i grafików i w ten sposób żyła firma F. Hoesick? Nic podobnego! Marian Sztajnsberg nie znosił tak nieskomplikowanego stosunku do świata. Niestety, nie tu miejsce na oddanie tej euforii pomysłowości w walce z wszelakimi posiadaczami stosów jego protestowanych weksli. To mogę powiedzieć: Najwytrawniejszym rekinom lichwiarskim słabło serce, ale nie temu, do którego pukałem teraz z moim odrzuconym tomikiem. Byłem bowiem łasy na pozycję w mej bibliografii, jak Cygan na muzykę, i nie chciałem ustąpić.

Marian Sztajnsberg — niech mu
ziemia lekka będzie, nie przeżył woj-
ny! — znalazł się elegancko. Tytu-
łem honorarium proponował mi

weksle (które potem wszystkie jak jeden dopuścił do protestu), lecz postawił dwa warunki: Zmienić tytuł. „Profil i drobiazgi żołnierskie”? Wykluczone. To bijou. Tytuł musi składać się z jednego słowa. To działa. W podtytuł musi być **powieść**. Drugi warunek to **przedmowa**. Najlepiej **Akademika**.

Udałem się do „Mistrza naszej młodości“ (wyrażenie poety Zagórskiego), do Karola Irzykowskiego. Powiedziałam mu, o co chodzi. Skłamałam, pogderałam, wreszcie pozwolił mi zostawić niniejsze notatki. Darczył mnie przyjaźnią od dawna i nie zawiódł w potrzebie. Uznawszy, iż książka nie jest szkodliwa, dał jej słowo wstępne, które odsunęło od niej łapy cenzora i języki tych, którzy wrzeszczeli: Armia musi być ze spisu! A sprawili, że była z waty.

Z szacunku dla zmarłego Mistrza,
z wdzięczności dla Przyjaciela, po-
stawiam Jego przedmowę książce,
która ukazuje się dzisiaj pod swoim
pierwszym tytułem.

Adolf Rudnick

*) które ukazały się pod swym pierwotnym tytułem: „Profile i drobiazgi żołnierskie”. (Sp. Wyd. „Książka”).

ŚWIAT CHRZEŚCJAŃSKI A ŚWIAT NOWOŻYTNY

ANKIETA „ESPRIT”

Po ankiecie na temat komunizmu numer 8—9 (sierpień—wrzesień 1946 r.) francuskiego miesięcznika katolickiego „Esprit” poświęcony jest w całości omówieniu odpowiedzi na drugą z kolei ankietę, poruszającą nie mniej żywotne zagadnienie doby obecnej, współżycie Kościoła ze światem dzisiejszym. Ankieta wywołała żywe zainteresowanie wśród intelektualistów francuskich: wzięli w niej udział zarówno wierzący, jak i ateści. Otwierają słowo wstępne redaktora E. Mounier, który wyjaśnia, dlaczego „Esprit” podjęło dyskusję na ten właśnie temat.

Kościół słusznie stara się walczyć ze wzrastającym zubożeniem wobec religii, jego zaś wyznawcy, mimo wielu opadających ich wątpliwości, woleli nie zadawać pytań, co więcej, zatracili nawet świadomość, że istnieją pewne zagadnienia, nad którymi warto by się zastanowić; że wiara jako poznanie niejasne jest nieskończonym źródłem pytań i że zastanawianie się nad niektórymi kwestiami jest jej pożywką, a nie słabością. Ateści wychodzili często z tego samego założenia.

„Nikt nie chce przybierać postawy oskarżyciela — pisze Mounier — ten, kto oskarża i mówi „wy” zamiast „my”, nie należy do wspólnoty. Przypomnijmy sobie wstrząsające strony „Pilotes de guerre” Saint-Exupéry, który powiedział: „Nie należy do wspólnoty ten, kto nie podziela jej błędów i nieszczęść”. Nie chcemy oskarżać ani narzekać, chcemy świadomie i odważnie, wspólnie pomyśleć nad tym, jaką wypracować przyszłość”.

W dyskusji wylaniają się następujące problemy: izolacjonizm Kościoła w stosunku do spraw społecznych, oceniany pozytywnie przez mniejszość, negatywnie przez większość głosów: postulat brania udziału przez Kościół w społecznej przebudowie świata: problem wpływów i współzależności myśli komunistycznej i chrześcijańskiej, kwestia ustosunkowania się Kościoła do nauki i wreszcie sprawa wychowania katolickiego.

NOLI TANGERE

Niektórzy katolicy zastrzegają odrębność zasadniczej, metafizycznej postawy Kościoła wobec prób wciągnięcia go w laicką problematykę społeczno-polityczną i w działalność reformatorską, stawiającą sobie za cel wprowadzenie na tym świecie sprawiedliwości.

Takie stanowisko reprezentuje Etienne Gilson.

Myli się ten, kto twierdzi, że chrystianizm jest religią biednych i uciemiężonych wszystkich klas i regimów. Ewangelia nazywa ich szczęśliwymi, a chrystianizm ostrzega przed szukaniem szczęścia w życiu doczesnym. Niektórzy uważają, że katolicyzm stałby się bardziej zrozumiały dla naszej epoki, gdyby przyłączył się do bezpardonowej walki z niesprawiedliwościami społecznymi i z nędzą ludu. Miejmy odwagę powiedzieć, że to byłoby sprzeczne z jego posłannictwem i istotą. Oczywiście, Kościół opowiadał się i zawsze się opowie za sprawiedliwością, ale nędza ludzka, przeciw której walczyć jest jego zadaniem, nie jest nędzą nieszczęśliwych tego świata. Zagadnienie, jakie porusza ankieta, nie jest nowe, nowe jest jego tło historyczne. Prawdziwi chrześcijanie nie utrzymują, że teologia zwalnia od etyki, ale świat postępowy sądzi, że etyka zwalnia od teologii. Przeciw chrystianizmowi, który bez sprzeniewierzenia się swej istocie nie może uznać, że człowiek powinien szukać sprawiedliwości przede wszystkim na tym świecie, powstaje wygłódniały i spragniony tej sprawiedliwości — świat.

Byłoby szaleństwem ze strony Kościoła, gdyby dla zdobycia popularności utrzymywał, że jest tym, czym nie jest. Wielu katolików żałuje tych czasów, kiedy Kościół docierał do całego społeczeństwa, kształtując opinię społeczeństwa i państwa. Katolicyzm jest wyłącznie osobistym stosunkiem człowieka do Boga — lepiej dla dobra sprawy, aby Kościół pozostał na zgodzie z Cezarem. Chrystianizm, choć nie jest z tego świata,

tkwi w nim, aby go uświęcić — świat stale się zmienia i Kościół staje wciąż przed nowym światem, którego jeszcze nie uświęcił. Kościół więc, co wynika z jego natury, walczy jako siła religijnie rewolucyjna, ale społecznie konserwatywna. Zadaniem Kościoła jest zachować świat nie takim jaki jest, nawet gdy stał się chrześcijańskim, ale zachować go tak chrześcijańskim, aby nie przestał nim być. Wiele zrobiono by, gdyby Kościół wyzbył się kompleksu, że jest u schyłku, dlatego że sprawy ludzkie rozplywają mu się w rękach. Aby przełamać obecny kryzys, powinien zrobić to, co nieraz już robił w podobnych wypadkach — wrócić do swej dawnej czystości i wyłącznie i niepodzielnie stać się Kościołem Chrystusa. A zrobiłby to o wiele prędzej, gdyby niektórzy chrześcijanie, zamiast liczyć na niego, że uświęci świat, który miją, nie używali go po to, aby przeszkadzał mijającemu światu.

Podobnie pragną oddać „co cesarskie cesarzowi, a co boskie Bogu” Brice Parain, Jean-Pierre Blum i Jacques Dehaut, którzy uważają działalność MRP, Action Catholique i JOC (Jeunesse Ouvrière Catholique — katolicka młodzież robotnicza) za niewłaściwie i fałszywie skierowaną. Bardziej rygorystyczne stanowisko w odseparowywaniu się Kościoła od życia doczesnego zajmuje Denis de Rougemont, który świat współczesny obciąża zarzutem zmateralizowania. W skrajności sformułowania głos ten wydaje się odosobniony.

WZAJEMNE OSKARŻENIA

Przeciwnie, z izolacjonizmu i obojętności wobec historii i etyczno-społecznej praktyki współczesności czynią Kościołowi zarzut J. Hadamard (profesor matematyki w Sorbonie) i były prezes Ligi Praw Człowieka) i młody komunistą Georges Mounin.

Georges Mounin stwierdza, że socjalizm, a przede wszystkim komunizm, już od wieku wywierają powolny, ale dający się zauważyć wpływ na chrystianizm. Na antyklerykalizm odpowiedział Kościół klerykalizmem; socjalizm i komunizm wydobyły cenną, dawno zapomnianą już rzecz — chrześcijaństwo. Od Lammenais po Martina Chauffiera, demokratyczny i rewolucyjny ruch obudził w nielicznej garstce katolików nostalgię za chrystianizmem; antydemokratycznej i antysocjalistycznej polityce swych przełożonych przeciwstawili oni argument wprowadzenia w życie zasad Chrystusa — komunizm chrześcijański. Oni byli prawdziwymi obrońcami Boga, gdyż dzięki swej zdolności przystosowania się do nowego świata potrafili nawiązać rzeczywisty kontakt między światem rewolucyjnym a duchem chrystianizmu. Pęd do socjalizmu ożywia obecnie prasę katolicką we Francji. Jakimi heroldami może się poszczycić

ten ruch zbratania, którego życzą sobie wrażliwi i autentyczni humaniści? Léon Bloy, Péguy, niekiedy Mauriac, dawniejszy Bernanos — wszyscy obrońcy wiary to ludzie świeccy, którzy wzbudzają szacunek wśród komunistów, bo szanują ich przekonania. A po drugiej stronie barykady wysoki kler starający się za wszelką cenę utrzymać tradycyjny katolicyzm i tradycyjny kapitalizm. Kto zwycięży? Wielu z wierzących toczy wewnętrzną walkę między powinnością katolika a chęcią stania się chrześcijaninem. Czy zdecydować się, tak jak za czasów Ludwika XVI, Karola X czy Franka, bronić Boga środkami diabła? Czy zechcą odegrać rolę wojsk zaciężnych broniących cudzej sprawy? Sztaby główne spóźniają się z wojną, Kościół spóźnia się z rewolucją — zamiast kapitulować w r. 1789 kapitułuje w r. 1830, a rok 1875 akceptuje dopiero w r. 1893. Kto jest prawdziwym chrześcijaninem i Francuzem nie powinien dziś powtarzać tych błędów.

Na tę krytykę Kościoła, wypływającą z postulatu udziału w życiu społecznym i zająć się jego problemami — odpowiadają głosy, które przypisują winę stronie świeckiej, a w Kościele widzą czynnik żywy społecznie. Zmateralizowanie i rozwijanie się dziejów świata świeckiego w odezwaniu od Kościoła wróży, zdaniem P. Bruckbergera, zgubę światu laickiemu. Przynieś mu zbawienie — jak niegdyś i zawsze — jedynie Kościół, w którym widzi reprezentanta Ewangelii pariasów.

Sprawę stosunku klasy robotniczej do katolicyzmu pozytywnie przedstawia Mauriac, który podkreśla wpływ i żywą aktualność sprawy katolickiej wśród mas robotniczych a zubożenie wobec religii tylko wśród zmateralizowanych klas posiadających.

François Mauriac stwierdza, że wszystko jest w porządku. Kościół jest rozdawcą łask, kto pragnie może się pokrzepić u jego źródła. Wprawdzie przeciwnicy Kościoła powiadają, że przewody są zatkane, a kurki przestarzałego typu, ale czy to przeszkadza? — Łaska stale krąży i przepływa. Kościół nie rozróżnia arystokracji i proletariatu — chce wszystkich zbliżyć do Chrystusa, ale prawie wszyscy się odwracają, bo natura jest wrogiem łaski, a ludzie przede wszystkim słuchają żołądka. Jeżeli ktoś nudzi się w kościele, to znaczy, że stracił wiarę. Jak niemądra jest uwaga jednego z „jocistów” (JOC — katolicka młodzież robotnicza), że robotnik odwiedzający kościół mieszczański i przestaje być „prawdziwym z prawdziwych”. Slogan, że Kościół utracił klasę robotniczą, nie jest zgodny z prawdą. Demokracja chrześcijańska, dzięki intensywnej pracy młodego narybku kleryków, cieszy się powodzeniem wśród społeczeństw europejskich. „Wiercie staremu Aka-

demikowi, który zna trochę świat. Ludzie światowi są dziś materialistami, jak byli nimi w XVIII w. Wielcy bogacze nie są chrześcijanami — w Szwajcarii czy w Holandii wierzący katolicy to lud — katolicyzm to religia klas biednych. Wrogowie Kościoła pomstują na automatycznych rozdawców łaski, na przestarzałe kurki — cóż mnie obchodzą ludzie, którzy mi dają Chrystusa?”

O USPOŁECZNIENIE KOŚCIOŁA

Zasady sprzeczne ze stanowiskiem Etienne Gilsona reprezentują głosy, które, wytykając Kościołowi niezdecydowanie i wstrzemięźliwość w partycypowaniu w życiu świeckim — żądają zdeklarowanego udziału we współczesnej myśli społecznej i ruchu socjalistycznym.

Julien Benda: Chrystianizm, który zasada się na życiu, dynamizmie i ewolucji, nie spotka się ze wzgardliwym przyjęciem dzisiejszego świata, przeciwnie, z godziny na godzinę zyskuje zwolenników. Ale jest i inny chrystianizm, który zamiast gloryfikować dynamizm stara się umniejszyć to, co dawna teologia nazywała „dumą życia”, który zamiast być polityczny nie przywiązuje wagi do spraw ziemskich, bo królestwo jego nie jest z tego świata. Te dwa rodzaje katolicyzmu pokrywają się z dwoma definicjami łaski. Tomasza z Akwinu: Łaska ulepsza świat, ale go nie niszczy, i Tomasza à Kempis: Łaska nie udziela się temu, kto nie wyrzekł się miłości stworzonej.

To, czy chrystianizm przetrwa, zależy tylko od niego, żadna siła, władza czy rewolucja nie mogą zabronić człowiekowi mieć jakąś religię. Idąc na ustępstwa, na rzecz ducha czasu, Kościół może podbić świat.

Błędem katolików jest ich dezercja z życia politycznego i obojętność wobec przemian społecznych — pisze pani Odile Vallin. — Wielu praktykujących katolików przyznaje się otwarcie do tego, że głosowali na komunistów. bo ani Kościół, ani katolicy nie chcą i nie mogą nie zrobić, aby poprawić ich los. A trzeba, żeby ich ktoś bronił w dziedzinie społecznej i ekonomicznej. Może to i wynik zręcznej propagandy, ale czas już wielki, aby chrześcijanie pomyśleli nad tym. Cóż może zrobić człowiek żyjący w odosobnieniu, choćby był najinteligentniejszy i najpomysłowszy? Cóż robią katolicy? — Czy interesują się tak rozpowszechnionymi naukami społecznymi, czy pasjonują ich reformy społeczne? Wszystkie partie chrześcijańskie przypominają żołnierzy ariergardy, którzy poświęcają się, aby głównej armii zostawić czas na przegrupowanie swych jednostek.

Abbé Pierre, bohater Vercors, deputowany MRP, w czasie ostatniej kampanii wyborczej zetknął się z klasą robotniczą. Stwierdza on, że roz-

dźwięk między Kościołem a robotniczymi masami jest widoczny. Stosunek ich do religii jest najzupełniej obojętny, a do przedstawicieli Kościoła odnoszą się bez szacunku i zaufania. Na zebraniach wyborczych nieraz usłyszał pod swoim adresem uwagę, że miejsce księdza jest w zakrystii. Kiedy przypominał o swej działalności w Vercors, aby ich do siebie przekonać, mówili, że wszystko to wygląda szczerze, ale tyle już razy ich oszukano. A przecież nie można tym ludziom zarzucić, że myślą tylko o jedzeniu i pić, że nie czują potrzeby oddania się bez reszty jakiejś wielkiej, wspólnej sprawie i że nie są zdolni do największych poświęceń. Cześć, której nie chcą już oddawać świętym, oddają bohaterom partii. Głód sprawiedliwości, którego nie zaspokajają już we wspólnocie chrześcijańskiej, zaspokajają we wspólnej pracy dla przyszłości, w której chcieliby odegrać efektywną rolę.

To samo spotyka Kościół protestancki. Pisze o tym pastor parafii Carla-Bayle.

Pierre Boujout, młody poeta, wyjaśnia przyczyny tego zubożenia. Pastorów interesuje bardziej interpretacja świętych tekstów niż rzeczywistnienie w życiu zasad Chrystusa. Są dobrymi profesorami, ale złymi apostołami. Mieszczuchy, jak większość wiernych, mimo ciężkich nieraz warunków materialnych wzdrażają się na myśl o rewolucji społecznej. Gdy ktoś mówi przy nich o komunizmie czy internacjonalizmie, uważają go za heretyka.

Abbé Michonneau, ksiądz z przedmieść Paryża, próbuje rozwiązać zagadnienie, opierając się na doświadczeniach swojej parafii — jego spostrzeżenia ograniczają się do świata robotniczego wielkich miast. Nie ma pretensji do gruntownej znajomości swoich parafian — ludzie, jak ludzie, zmieniają się jak fale zależnie od przypływu czy odpływu morza.

Nie kultura oddziela nas od ludu, ale właśnie brak kultury, brak wyuczucia rzeczywistości. Wyostrożony, subtelny umysł potrafi zrozumieć masy i być przez nie zrozumiany. Ale w stosunkach z nimi musi się wyżyć intelektualnego bagażu, być filozofem bez filozofii. Aby zrozumieć lud, trzeba wychodzić od zera, szukać zagadnień, nim się wygłosi teorie. Oto jak abbé Michonneau charakteryzuje mentalność i duszę robotnika. Robotnik, choć tak daleko odszedł od religii, jest najbliższy ducha Ewangelii. Mimo że ciężko walczy o byt, jest miłośnikiem — nie odmówi nikomu, kto zapuka w potrzebie do jego drzwi i podzieli się z nim ostatnim kęsem. Nie ma kompleksu mieszczańskiego, czy ten, którego wspomaga, zasługuje na współczucie, — cierpi, więc jest bratem w niedoli. Przyzwyczajony do biedy nie troszczy się o jutro, byle dziś było co do ust włożyć. Jest bardzo bezpośredni i prosty, nie oblicza i nie zna dyplomacji. Myśli i działa kolektywnie, nieufnie odnosi się do tych, co narzucają mu się z „matkowaniem” — ceni swą niezależność. Jest materialistą, bo praca, którą wykonuje, przykuwa go do materii. Jest wspaniałomyślny i zdolny do poświęceń — podczas okupacji niemieckiej klasa robotnicza w dużym procencie zasilala Ruch Oporu.

Dlaczego lud francuski odpadł od Kościoła? Możliwe, że Kościół, nie podając mu religii w sposób dość żywy, nie potrafił go przy sobie zatrzymać, że przedstawiciele Kościoła popełniali błędy, szli na kompromisy, które kompromitowały Kościół w oczach wiernych, ale nie można też zaprzeczyć, że antyreligijna propaganda zrobiła swoje. Robotnik 1946 r. nie jest nastawiony antyklerykalnie, ale boi się klerykalizmu, boi się o swą niezależność, boi się wpływu księży, których uważa za przyjaciół tych, co go eksploatują. W katolicyzmie widzi tylko jego zewnętrzną formę — wystawność ceremonii. Pyta, po co to wszystko i odpowiada sobie po prostu — cała ta administracja, cały ten kult, to system wyzyskiwania łatwowierności ludzkiej, pozwalającej żyć księżom kosztem wiernych. Nie widzi w katolicyzmie jego wewnętr-

P O E Z J E

JERZY E. MILLER

* * *

Niebieski los omijał śmierć
na bliskie dłonie spadał
nieznanych mi. A moją pierś
jak akcesoria śmiertelnych zakładów
tylko dotykał, tylko muskał
kuli syczącej przelot
i szkłem tłuczonym konał u stóp
zamierzonego celu.

W godziny podążały cynglem
serie spłoszonych automatów

ANDRZEJ BRAUN

PROFILE

Wyjeżdżające samochody,
którym powrotu nikł nie wróży
i smukłej lufy wyraz chłodny,
gdy uśmiech rzęsy twoje mrużył.

Ten dzień wyrwany wśród bezruchu
ciągle ostatni w całej serii,

śpieszne, piszące, szczygłe
jak umieszczony na sprężynach statyw.

Ranek i wieczór, dzień i noc
w zimnym powietrzu płyną
jak ptaki zbłąkane bez imion.

Zamrażający dech fluidów
wnika do mojej myśli —
gzymsy, podmalowane niebem wyspy
odchodzą — idą...

zwierzenia powiedziane w duchu
w gorący mego życia czerwiec.

A wreszcie noc, radiowy nasłuch,
w słuchawkach trzask zaśpiewa milej —
jak zarys idącego czasu
wczajony w męskie dwa profile.

nej treści — widzi tylko urzędników spełniających funkcje w czasie służbów, pogrzebów czy innych okolicznościowych uroczystości. Ale w głębi duszy ma szacunek dla Kościoła, sympatią darzy niski kler, bliski mu dlatego, że uważa go za ofiarę eksploatacji. Jeżeli ustosunkowuje się sceptycznie do religii, to nie tylko dlatego że niedowierza, ale dlatego, że jest materialistą. Co mu z religii, jeśli mu ona nie przynosi doraźnych korzyści? — to luksus dla bogaczy i rozrywka dla leniów.

Robotnik mieszka trzy pojęcia: doktrynę partię i klasę. Być komunistą, to znaczy solidaryzować się z klasą robotniczą, nie być komunistą i na komunistów nie głasować, to znaczy klasę zdradzać. A ponieważ uważa Kościół za przyjaciela reakcji i możliwych tego świata, praktyki religijne postrzega też za zdradę. Robotnik boi się klerykalizmu, ale katolicyzmu nie atakuje. Atakuje Kościół, rzadziej doktryny katolickie. Ma szacunek dla ideałów tej religii, według której żyją niektórzy chrześcijanie. Jeżeli ich realizację uważa często za utopię, to za utopię godną podziwu.

Jak pozyskać dla Kościoła masy robotnicze? Wpływ „jocistów”, wpływ JEC, udział księży w ruchu maquis wiele już zdziałały w tym kierunku. Kościół musi iść z duchem czasu, podawać religię z punktu widzenia zbiorowości, kolektywnego postępu i wspólnoty chrześcijańskiej.

W tym duchu wypowiada się również bardzo obszernie „socjalista-praktyk”, książka **Depierre**.

Dlaczego — powiada — mieć za złe marksistom, że dążą do stworzenia rajów na ziemi. Właśnie chrześcijańskie byłoby podtrzymywanie ludzi w tym dążeniu do pozytywnego ideału prawdy i sprawiedliwości. Pracując jako ksiądz-robotnik, abbe Depierre rozumiał trzy rzeczy: 1) świat szuka jedności, ale nie może jej odnaleźć, bo nie ożywia go Kościół, jeden, boski i katolicki; 2) potrzeby, jakie odczuwa, może zaspokoić jedynie w posłannictwie Chrystusa; 3) Kościół powinien baczenie śledzić to błędzenie, wczuć się w cierpienia ludzi, zbliżyć się do nich i kochać wszystkich: proletariatu i inteligencję, chłopów i żołnierzy, Żydów i pogan. Drzwi mieszkania księdza Depierre stoja dla wszystkich otworem — często w swoim pokoju odprawia mszę, zwłaszcza w sobotę święto proletariatu, kiedy robotnicy wracają z pracy, a kościoły są o tej porze już zamknięte.

Abbe Depierre stwierdza, że gdy nowy chrystianizm zdobędzie pełne zaufanie do człowieka w służbie bliźnich i ludzkości, nie będzie już działał w nauce, technice i postępie swoich wrogów.

REFORMA WYCHOWAWCZA

Dla pożądanej zmiany kierunków konieczna jest reforma wychowania katolickiego. Jedną z przyczyn, dla której Kościół utracił wpływy, jest osłabienie serc — brak współczucia ze strony księży dla cierpień ludzkich, moralnych i fizycznych.

Oto jak to tłumaczy jeden z seminarzystów **Paul Taupin**:

Przez pięć a nawet sześć lat seminarium klerycy żyją w zupełnym odosobnieniu, odgradzeni od rodziny i przyjaciół, z dala od trosk, które gnębia szarego człowieka. Teorie, które wypracowują, są zbyt abstrakcyjne, aby mogły nawrócić świat. Kształtując ich umysł i duszę, nauka w seminarium równocześnie je deformuje. Młodzi księża po wyświęceniu z murów nie są przygotowani do zetknięcia się ze światem, na który patrzą przez kształtujące szkła humanistycznej filozoficznej i teologicznej kultury. Czy rozumieją masę? Pełni zapału nie umieli znaleźć wspólnego języka z wiernymi swych parafii. Gdy próby nawiązania kontaktu się nie udają, niechętni zamknięcia się w zakrystii, lub oddają się pracy w sekcjach JOC czy JEC, a tymczasem porozumienie z masami staje się coraz mniej możliwe. Powoli życie przestaje ich interesować — stają się po prostu dobrymi urzędnikami parafii — ci, co mają zainteresowania intelektualne, wracają do swych książek, chłopcy — nowie pielegnują kwiaty i pszczoły. Mogą to być nawet święci, wartościowi ludzie, ale mas nie przekonują ani nie nawracają.

Należało by też wychować katolików. Znaczna ich większość nie rozumie świata dzisiejszego, co więcej, nie odczuwa nawet potrzeby, aby go

zrozumieć. Żyją sobie w zamkniętej społeczności, w już uświęconej rodzinie — w Kościele. Tak ukształtowany organizm nie stawia najmniejszego oporu wpływom mieszczańskiemu mentalności i kapitalizmowi, które umniejszają jego ewangeliczne posłannictwo, sącąc w dusze wiernych faryzeizm i przesady. Pragnieniu prawdy i sprawiedliwości, które uważa się za wrogi Kościołowi, przeciwstawia się suchą nomenklaturę objawionych dogmatów i naiwne syntez filozoficzne.

ŚWIAT CHRZEŚCIJAŃSKI WOCEN NOWYCH WARTOŚCI

Niektóre z wartości, jakie wniosła nowożytność, wywodzą się wprost od chrystianizmu, ale ani chrystianizm,

ani one same nie przyznają się do tego pokrewieństwa i ustosunkowują się do siebie wręcz nieprzyjaźnie. Prawdą jest, że te wartości, zmuszone do walki nieufnością i ignorancją Kościoła, wysuwały nieraz argumenty wrogo jego założeniom, ale błędem chrystianizmu było, że nie starał się w nich doszukać tego, co od niego pochodziło i nie uznał zawartej w nich prawdy.

Jean Réal założył w Grenoble stowarzyszenie jednoczące katolików i protestantów. Dom Kultury, ufundowany przez PEC, zaprosił jego członków do wzięcia udziału wraz z marksistami w kursach: „Człowiek a świat dzisiejszy — perspektywy chrystianizmu i marksizmu”. Kursy spotkały się z powszechnym uzna-

niem i będą powtórzone w innych miastach Francji. Jean Réal ma duże doświadczenie — nieufność Kościoła wobec nowych wartości laickiego świata tłumaczy nie dość silną wiarą w Boga. Po co wciąż lawirować, zmieniać taktykę i rzucać klątwy? Po co piętnować prawdę, która nie podporządkowuje się raz na zawsze uznanym formom? Réal zarzuca katolikom francuskim brak umiejętności współżycia na zasadach tolerancji z wyznawcami innych obrządków.

Wielką zdobyczą nowożytnego świata jest nauka — zaniepokojony jej powodzeniem chrystianizm długo się na nią boczył i długo ją zwalczał. Potępił Galileusza, a wielkie dzieło Kopernika przez dłuższy czas było na indeksie.

W „La Vie intellectuelle” Pierre Humbert z przykrością pisze o niezręcznej polityce katolików w walce z odkryciami, która kończyła się potem niezbyt chlubną kapitulacją. Ludzie Kościoła, zamknięci we „wiedzy z kości słoniowej”, wśród niewzruszalnych dogmatów, nie mogą pogodzić się z tym, że świat nie stoi na miejscu, że obok rzeczy stałych są i takie, które podlegają zmianom. W Hiszpanii księża drwili sobie z pierwszych lotników, porównując ich do Ikara i Szymona Czarodzieja. W tym wypadku ustosunkowanie się Kościoła było raczej zabawne niż poważne — niemniej świadczą o pewnym typie mentalności, z którego się klerowi robi zarzut: o jego antysycientyzmie i antypostępowości. Pewien dominikanin pisze, że forma, jaką nadał religijnemu nauczaniu Tomasz z Akwinu, mogłaby, nie raniąc ortodoksyjnych rygorystów, przynieść zupełną zmianę. Joseph de Maistre powiedział: „Religia będzie naukowa, a nauka będzie religijna”.

Ale konflikt nauki i wiary w mniejszym stopniu pasjonuje współczesnych niż konflikt Kościoła i Rewolucji. Oto co pisze wielki uczony **P. Teilhard de Chardin**: począwszy od Renesansu nauka i wiara są w ciągłym konflikcie. W pierwszej fazie antagonizm Objawienia i Doświadczenia polegał na trudności uzgodnienia pewnych dogmatów z wynikami obserwacji (siedem dni Stworzenia, nieruchomości ziemi). W miarę jednak postępu fizyki i nauk przyrodniczych konflikt ten nabierał ogólniejszego znaczenia i coraz bardziej się pogłębiał. Dogmat chrześcijański najlepiej by zrobił, gdyby od początku przystosował się do rozmiarów i wymogów nowego świata, który stworzył wiarę w ziemską i kosmiczną przyszłość ewolucji. W tym krytycznym momencie, gdy konflikt już dojrzał, zaczyna się zarysowywać reakcja Kościoła. Katolicy wobec nowej ewangelii nauki zachowywali dotąd postawę obronną. Teoria ewolucji stanowiła „potęgę możliwą do przyjęcia, ale opartą na kruchych podstawach, co było właśnie jednym z argumentów ich strategii. Cóż by się stało, gdyby idąc drogą wytyczoną przez greckich Ojców, starali się przenieść Objawienie w zmieniający się świat. Doszli dziś do tego myśliciele katolicy. Tradycyjna chrystologia może nie tylko uznać ewolucyjną strukturę świata, ale w niej właśnie swobodnie i w pełni się rozwijać. Chrystianizm i ewolucja są jakby stworzone, aby się wzajemnie uzupełniać. „Stworzenie”, „Wcielenie”, „Odkupienie” — czy słowa te nie kryją w sobie pojęcia jakiegoś procesu? Przyjęcie przez myśl katolicką ewolucji życia zniosło zapory między wiarą a rozumem. Nic nie przeszkadza, aby chrześcijanie i niewierzący zgodnie kroczyli wielką drogą odkryć — szczerą współpracą jest dziś możliwa.

POTRZEBA JEDNOŚCI

Komunizm jest atrakcyjny nie tylko dlatego, że daje korzyści materialne, stwierdza abbe Pierre. Odpowiada masom i dlatego jeszcze, że daje im uniwersalny światopogląd, że stara się dać odpowiedź na wszystkie zagadnienia: społeczne, kulturalne, literackie a nawet filozoficzne. Mimo że niektórzy teologowie mają jeszcze złudzenia, trzeba sobie powiedzieć, że chrystianizm nie może dać ludzkości doktryny, jakiej domaga się człowiek od dzisiejszego świata. Pochłonięty ciągłą troską o zbawienie jednostki i o utrzymanie skostniałych form, Kościół zapominał o syntezie ludzkich zagadnień, jaką dawali kiedyś Ojcowie Kościoła. Jak zażegnć kryzys? Kościół musi zerwać ze sklerotycznymi formami i podawać nowej ludzkości syntezę świata, aby wierni nabrali przekonania, że współpracują dla wspólnej sprawy.

NIEDOMAGANIA WEWNĘTRZNE I ŚRODKI ZARADCZE

Izolowanie się i ignorancja nie wyczerpują zarzutów, skierowanych przeciw światu chrześcijańskiemu. Książka **Leclercq** występuje przeciw przesadnemu racjonalizmowi. **M. Y. Pecholo** mówi o niektórych pojęciach intelektualnych (np. pojęcie wiary) czysto świeckich, które Kościół uznał za artykuły wiary i które zaciążyły na chrystianizmie. Ten niezbędny balast urabia katolikom opierć konserwatystów. Z zacofaniem idzie w parze coś znacznie poważniejszego.



Paweł Hulka-Laskowski

nowiska. Stąd — różnorodność form twórczości Hulki-Laskowskiego, który był krytykiem, essayistą, publicystą, powieściopisarzem i tłumaczem w jednej osobie. Miał wszelkie kwalifikacje, aby być świetnym w tak wielu dziedzinach, a ta ocena ostabiała się nawet wtedy, gdyby pozostawił po sobie jedynie „Mój Żyrardów”, niezwykle w swej powadze i wnikliwości dokument autobiograficzny, będący zarazem kroniką życia i wzrostu żyrardowskiego osiedla.

Niecodzienna dobroć, charakter jak z kryształu, szlachetna bezinteresowność — oto ludzkie cechy Hulki-Laskowskiego, który w promieniu swej osobowości każdej krzywdzie starał się zaradzić i każdej słusznej sprawie oddawał bez wahania swą wiedzę i pióro. Jego dobre, współczujące serce znał cały Żyrardów, odwagę jego przekonań i publicystyczną śmiałość znały szerokie rzesze czytelników pism, borykających się ongi ciężko z siłami zastoju i ciemnoty. Uczynność i ofiarność Hulki-Laskowskiego poznało wielu w czasach okupacji; sam zagrożony i niepewny dnia ani godziny w rodzinnym Żyrardowie, pan Paweł ratował przecież i wspomagał innych „przestępców”, ilekroć się po temu nadarzyła potrzeba i okazja. Ten człowiek — mimo odmiennej pozory miał w sobie męstwo i żarliwość bojownika, po białogórskich przodkach snadź odziedziczone.

Okupacyjny, wieloletni koszmar był okrutnym przeżyciem dla Hulki-Laskowskiego i przyśpieszył niewątpliwie jego śmierć. Człowiek kochający bliźnich miłością żywą i czynną, człowiek, który nie chciał nigdy wątpić w możliwość zgody, harmonii i współpracy całego rodzaju ludzkiego, musiał patrzeć oniemiały na dokonywające się wokół hitlerowskie bestialstwo, na podeptanie i pogwałcenie wszystkich praw i uczuć ludzkości, na bezsens i grozę piekielnego dopustu. Nie można było uciec ani skryć się przed tym, trzeba było szukać chwilowego choćby zapomnienia. Gdzieżby mógł szukać tego zapomnienia humanista, intelektualista Hulka-Laskowski, jak nie w książkach? W artykule drukowanym w numerze 26 „Odrodzenia” autor „Żyrardowa” tak się zwierza z tych poszukiwań:

„Przez cały czas potwornej okupacji nie przestawałem szukać książki, która by mocą swoją wewnętrzną i formą zewnętrzną odpowiadała

Bolesław Dudziński

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Po śmierci Pawła Hulki-Laskowskiego

szeg nieznaną i fałszywą zrozumienie przez wielu katolików, a co gorsze że i księży, dogmatów katolickich. W tym zacofaniu i ignorancji tkwi, zdaniem Pechola, istotna przyczyna rozdźwięku.

Świat dzisiejszy rozumiał już znacznie wymiany dóbr kulturalnych i duchowych wszystkich narodów. Ważności tego faktu nie docenia jeszcze Kościół. Ksiądz Leclercq za konieczne uważa poznanie się i przenikanie wzajemne ideologii chrześcijańskich różnych narodów. Kto choć trochę podróżował wie, jak ta sama wiara, te same zasady życia chrześcijańskiego przybierają w każdym kraju odmienne formy. Wielkie zakony powinny stale wymieniać swych członków, aby mogli studiować za granicą.

Poważnym zarzutem jest też brak wiitalności. Kościołowi potrzeba młodych, energicznych księży, którzy by potrafili przekonać świat, że religia jest wciąż żywą i aktualną prawdą. Kościół sprawia często wrażenie administracji, która oblicza dochody, klientów, klery i swoich zwolenników. Jest za mało demokratyczny — między biskupami a wiernymi jak i między papieżem i chrześcijaństwem jest za luźny kontakt. Papież nie opuszcza swego pałacu, nie zna świata i ludzi. Powolność i brak zrozumienia ze strony kleru ma w sobie coś tragicznego — a życie nie czeka. Chrystus żył blisko z ludźmi — był pośród nich, wysłuchiwał ich skarg, znał ich potrzeby, dzielił z nimi pracę i posiłki, radości i cierpienia. Wszyscy mogli go zobaczyć — zwiedzał różne kraje, przemawiał do ludzi w ich języku. Był jednym z nich i dlatego mogli go poznać, zrozumieć, pokochać i starać się do niego upodobnić.

Na zakończenie tej dyskusji nad przyczynami rozłamu między światem współczesnym i Kościołem, głos człowieka, który gdzieś indziej ich się dopatruje niż wszyscy jego poprzednicy, doszukujący się źródła rozdźwięku w ustosunkowaniu się Kościoła do zagadnień społecznych.

Nierdziaławość uważa za błędne tłumaczenie konfliktu Kościoła i świata tym, że świat i człowiek odsunęli się od Kościoła i weszli na fałszywą drogę. Sami chrześcijanie i historyczny chrześcijaństwo ponoszą tu odpowiedzialność. Chrześcijaństwo uważano za religię zbawienia, a na jedynostkę patrzono z punktu widzenia życia wiecznego. Koncepcja ta nie znała zagadnienia przemian społecznych i kosmicznych. Wielkie odkrycia i potęga techniki nowoczesnej postawiły chrześcijaństwo przed obliczem zupełnie nowego świata. Nowy chrześcijaństwo powinien zerwać z przeżytymi już formami filozofii greckiej, średniowiecznej i racjonalizmu przedkantowskiego i dać się zapłodnić nowymi prądami myśli filozoficznej (np. egzystencjalizm, który niekoniecznie prowadzi do ateizmu). Przyszłość chrześcijaństwa zależy nie tyle od tego, co powie, czy robi świat dzisiejszy, ile przede wszystkim od tego, co powie i robi sam chrześcijaństwo.

*

Zbierając wyniki ankiety dochodzimy do przekonania, że w przeważnej większości odpowiedzi daje się wyczuć niechęć do katolików wobec zagadnienia jego udziału w przebudowie społecznej świata. Brac czy nie brać udziału? Wahanie się i bieg myśli do obu krańcowych stanowisk są bardzo charakterystyczne. Znamienita i cenna jest, wysnuta z przeżytych doświadczeń i przemysłów, społeczna postawa takich katolików jak ksiądz Pierre, Michonneau. Depierre, u których głębokie zrozumienie psychiki człowieka pracującego i jego roli historycznej łączy się z żywą wiarą, którzy w pojęciu wymagają socjalnych opartych na takiej wiedzy, z koncepcją swojej wiary widzą zadanie współczesnego chrześcijaństwa i jego drogę.

JACEK FRÜHLING

Książka zrodzona z pasji i furii

Nie ma chyba teorii naukowo-medycznej, która by budziła więcej zainteresowania a równocześnie wywoływała bardziej sprzeczne oceny i sądy aniżeli psychoanaliza. Nic w tym dziwnego. Bo oto nagle wstydlive dziedziny życia, sprawy zwierzone w najtajniejszych rozmowach i dociekaniach, obracających się dokoła zagadnień tak trudnych i skomplikowanych jak świadomość i podświadomość, jak urazy ludzkie, mające swe źródła w przeżyciach dzieciństwa, jak sny, zostają ukazane w reontgenowskim świetle, są szczegółowo badane, oceniane i komentowane. Okoliczność, że psychoanaliza obraca się przede wszystkim w dziedzinie spraw i problemów najbardziej drażliwych, że nie ma tu miejsca na niedopowiedzenia, wywołuje ten efekt, że nie ma prawie człowieka, który by na zagadnienie psychoanalizy umiał patrzeć zupełnie chłodno, obiektywnie i bezstronnie. Cokolwiek by mówili lub pisali zarówno liczni entuzjaści Freuda, jak i nie mniej liczni jego przeciwnicy i krytycy — wszystko zabarwione jest afektem. I entuzjaści i przeciwnicy wskutek tego nie są w stanie wyzwolić się od przesady, zarówno w wyolbrzymianiu plusów, jak i w nadmiernym wydymaniu i podkreślanu minusów.

Emil Ludwig należy do drugiej grupy. Niedawno wyszła w Zurychu jego książka „Der entzauberte Freud“ (w dosłownym tłumaczeniu brzmiałaby to: „Odczarowany Freud“). Zanim przejdziemy do omówienia samej książki, trzeba powiedzieć i podkreślić, że bez względu na jej ocenę merytoryczną, jest to utwór niepospolity i niecodzienny. Niecodzienną jest i niepospolitą leży w jakiejś furii, w jakiejś obłądnej pasji, z jaką autor „Napoleona“ atakuje, demaskuje i gromi Freuda i freudystów. Pasja ta jest chwilami tak wielka, że czytelnikowi zapiera oddech; a równocześnie czytelnik ma uczucie, że ta ludwiguowska postawa ma swoje źródło w jakichś urazach i kompleksach o charakterze wyrażnie chorobliwym.

Spróbujmy teraz dać syntezę zarzutów, jakie Ludwig stawia psychoanalizie, Freudowi i freudystom. Zarzut pierwszy, chyba najważniejszy, do którego Ludwig brał po raz wraca w swej książce, brzmi mniej więcej tak: Będem i grzechem psychoanalizy jest fakt, że z badań przeprowadzanych nad chorymi, nad neurotykami, Freud i freudyści wysnuwają apodyktyczne wnioski o ludziach zdrowych, a więc są zdania, że właściwie cały świat — to zbiorowisko neurotyków i neurasteników. Z tego ujęcia sprawy płyną tragiczne, zda-

niem Ludwiga, i szkodliwe konsekwencje. Nie kwestionując samej koncepcji kompleksu Edypa, Ludwig protestuje z furją przeciw temu, by w każdym śmiertelniku doszukiwać się tego kompleksu. Twierdzenie jakoby w każdym dziecku płci męskiej istniała chęć usunięcia ojca i skłonność do stosunku seksualnego z matką, jakoby dziewczynki marzyły i śniły o stosunku seksualnym z ojcem, czuły się pokrzywdzone i nieszczęśliwe, że w dziedzinie seksualnej nie mają tego, co chłopcy — wydaje się Ludwigowi absurdem. Tak samo patrzy Ludwig na zagadnienie snów, które w psychoanalizie zajmuje tak wielkie i znaczne miejsce. Zdaniem jego, psychoanalityczna interpretacja snów, doszukująca się w każdym niemal śnie seksualnego ekshibicjonizmu, jest oparta na zupełnie dowolnych i pretensjonalnych hipotezach, które wprowadzają chaos i zamieszanie do głów i umysłów ludzkich.

Zagadnieniem, które niezwykle interesuje Ludwiga, jest kwestia, dlaczego psychoanaliza i jej prorocy cieszą się tak olbrzymią popularnością w Stanach Zjednoczonych. Ludwig, który prawie całą wojnę spędził w Ameryce, odpowiada na to pytanie następująco: Francuzi ustosunkowali się do psychoanalizy sceptycznie, ponieważ jest to naród, który może najwięcej rozumieć w sprawach miłości. Natomiast Amerykanie poculi do psychoanalizy pociąg, gdyż wielu spośród nich dowiedziało się po raz pierwszy, jakie to tajemnice kryje miłość, dla wielu stało się rewelacją to, co dla Europejczyka tkwi głęboko w tradycji. Następną przyczyną jest fakt istnienia w Ameryce podwójnej moralności: tej za trzy dolary i tej za dziesięć centów. W wydaniu książkowym pisarz może pisać, co mu się podoba; z powieści jego, drukowanej w jednym z niezliczonych magazynów, cenzura obyczajowa skreśla wszystko, co pozostaje w związku z seksualizmem. Kraj, który w afiszach reklamowych ukazuje tysiące nagich kobiet w najrozmaitszych pozycjach, zabrania w dziedzinie filmowej obrazów wykraczających poza granice pociągów. Psychoanaliza przyniosła rewelacyjny zwrot. Obywatel New Yorku może teraz pod egidą Freuda nie tylko myśleć, ale i mówić o najbardziej wstydlivych tematach. Poza tym zainteresowanie Ameryki dla psychoanalizy tłumaczy Ludwig tendencją Stanów Zjednoczonych do ujmowania wszystkiego w szablony, schematy i dane statystyczne oraz opóźnieniem w stosunku do Europy w dziedzinie psychologii. Zdaniem Ludwiga, psychoanaliza wpłynęła i wpływa jak najgor-

zej na nieskomplikowane umysły amerykańskie. Daje on taki przykład: Jakieś dwuletnie dziecko zostało zagryzione na śmierć przez buldoga. Kiedy postanowiono zgładzić psa, właściciele jego zostali zasypiani setkami listów protestujących. Autorzy ich twierdzili, że pies jest niewinny: działał w obronie własnej, gdyż czuł, że dziecko odbiera mu uczucia właścicieli. Reakcja ta — twierdzi Ludwig — jest dziełem Freuda, który wprowadził motyw przepełnionego nienawiścią starszego dziecka. Amerykanie, autorzy protestu, poddali buldoga analizie i orzekli, że nikt nie ma prawa go zgładzać...

Dużo miejsca, uwagi i niepomahowanej pasji poświęca Ludwig freudowskiemu analizom postaci historycznych. Jako pisarza, który zajmuje się monografiami historycznymi, drażni go najbardziej analiza postaci Napoleona. Ludwig cytuję ocenę Bonapartego, dokonaną przez jednego z uczniów Freuda. Z analizy tej wynika, że Napoleon nienawidził swego ojca, że właściwie przez całe życie marzył podświadomie o tym, by utrzymywać seksualne stosunki z matką swoją Letycją. Kompensując tę niemożność, Napoleon gwałcił Europę, która była dla niego wcieleniem i symbolem czcigodnej matki. Nie koniec na tym. Wierny uczeń Freuda, prof. Jeckel, uważa za rzecz bezsporną, że Napoleon był homoseksualistą, czego dowodem ma być niezwykle ciepły i serdeczny stosunek do jednego z braci. Ludwig zwraca przy tej okazji z lubością uwagę, że prof. Jeckel się pomylił: historyczne fakty, które przytacza, nie odnoszą się do brata Napoleona Ludwika, lecz do drugiego jego brata Lucjana. Jeżeli chodzi o Napoleona, to poza sprawą kompleksu Edypa i homoseksualizmu oburza jeszcze Ludwiga twierdzenie prof. Jeckla, jakoby Napoleon związał się z lekkomyślną Józefiną tylko dlatego, że niewierność odpowiadała mu, boć przecie niewierna była mu matka Letycja. Słowom prof. Jeckla, że Napoleon rozkoszował się po prostu tą niewiernością, przeciwstawia Ludwig fragmenty z listów Napoleona, które brzmią tak: Podobno masz kochankę, 19-letniego chłopca. Jeżeli tak jest, mogę się stać Otellem.

Podobną pasję wywołują w Ludwigu analizy Bismarcka, Goethego, Michała Anioła i Mojżesza. Ludwig twierdzi, że płyną one z nieznanymi źródłami historycznymi, z zupełnej nieznajomości charakterologii, z monomanią, polegającej na doszukiwaniu się w każdym i we wszystkich motywów i pobudek seksualnych. Równocześnie drażni Ludwiga u freudystów mętny sposób wyraża-

nia myśli i hipotez naukowych. Drażni go ich styl, ich napuszony i zawily język, drażnią go terminy, które zyskały taką popularność, jak libido, kompleks niższości itd. Zdając sprawę z przebiegu rozmowy z Freudem, Ludwig charakteryzuje go jako maniaka, oderwanego od życia, opętanego ideami i koncepcjami, które tylko w wyjątkowych wypadkach mają uzasadnienie. Za najgorszą plagą i przekleństwo uważa Ludwig liczne rzese uczniów i interpretatorów Freuda i jego nauki. Zdaniem jego są to przeważnie spekulanci, posługujący się metodami czarodziejów, czarnoksiężników, zaklinaczy ognia. Spekulant ci, którym się zdaje, że pojedli wszystkie rozumy, są mimo pozorów ludźmi bardzo realnymi — twierdzi Ludwig. Każą sobie słono i wysoko płacić za prześwieclanie mroków podświadomości.

Aby dać pełny obraz postawy Ludwiga wobec Freuda i freudyzmu, warto jeszcze przytoczyć kilka zdań z jego wstępu do książki. Oto one: „Gdyby nie przypadek, nie napisałbym tej książki. Było to w Santa Barbara, zepsuł mi się samochód, zaczął go naprawiać jakiś młodzieniec. Naprawa szła ciężko, w pewnej chwili młodzieniec mruknął pod nosem: to skutki mego kompleksu niższości. Kiedy tego samego wieczoru rozmowa zeszała na ten temat i kiedy bez entuzjazmu zacząłem mówić o tym przesiąknięciu i rozprzeżeniu się terminów psychoanalitycznych, pewna młoda dama zapytała mnie, czy mogłbym w ogóle żyć bez tych terminów. Przy tych słowach zadarła wysoko nogi i zaczęła przed lustrem malować usta. W odpowiedzi na mój ironiczny uśmiech opuszczała lusterko, spojrzęła na mnie pogardliwie i powiedziała: „bez pojęcia libido, nie wyobrażam sobie swego życia“. Tego samego wieczoru postanowiłem napisać swoją książkę.

Tak w skrócie wygląda zrodzone w pasji i furii zarzuty Ludwiga przeciw psychoanalizie, Freudowi i freudystom. Oczywiście, wyznawcy mistrza, napiętnowana gromada uczniów, obrzuca Ludwiga błotem i kamieniami, zawołają „wara, świętości nie szargać“. Oczywiście, popęlnia Ludwig wiele pomyłek, dopuszcza się nieścisłości, używa skrótów, jak mu to jest wygodne. Niezależnie jednak od tego, w wielu punktach trudno nie przyznać mu racji. Psychoanaliza ma obok swoich zasług i zalet niemały rejestr wad i grzechów. Kto rości sobie pretensje do nieomyślności, ten zawsze musi się liczyć z tym, że ktoś inny nieomyślność tę zakwestionuje i zaatakuje.

Jacek Frühling

JAN BRZOZA

Na Śląsku jesienią

Na Śląsku wszyscy pracują. Ludzie nie znają tutaj ograniczenia przestrzeni. Uczniowie jadą z Gliwic do Katowic tramwajem do szkoły. Jadą urzędnicy do biur. Tylko robotnicy są uprzywilejowani, bo jeżdżą przeważnie własnymi ciężarówkami (własnymi, tzn. należącymi do kopalni lub fabryk). Na Śląsku rzadko widzi się robotników idących pieszo do pracy lub z pracy. W oznaczonych punktach czekają na nich ciężarówki, które zabierają ich do miejsca pracy. Grunt, żeby się nie spóźnić na ciężarówkę, bo to czasem i dwadzieścia kilometrów drogi. Spóźnisz się, bracie, dniówka przepadła. Pieszko nie zajdziesz ani do południa. Wszystkie kopalnie, huty i wiele fabryk pracują bez przerwy całą dobę. Na trzy zmiany od 6 rano do 2, od 2 do 10 godzin od 10 do 6 rano. O tych godzinach można widzieć długie kolumny ciężarówek, wjeżdżających i wyjeżdżających z kopalni, oraz roje rowerów rozejżdżających się na wszystkie strony, wszystkimi drogami i ścieżkami.

Nad tym jeżdżącym Śląskiem uno-

szą się kłęby dymu i pary. Dym jest czarny, para biała, ale zależnie od pogody i od dnia te dymy i pary przybierają nieraz fantastyczne barwy. Nocą zaś nad hutami rozciągają się co jakiś czas łuny, które nikną. To żelazo wlewa się wtedy do form. Płynne żelazo rozżarzone do białości. Łuny te zależnie od pogody mają też rozmaite kolory, od czerwonego, poprzez pomarańczowy, zielonkawo-żółty, do żółtego. Przypomina to odbłyśki salw armatnich podczas wojny.

Zastanawiałem się zawsze, gdzie leży początek tej gorączkowej pracy na Śląsku. Sądzę, że zaczyna się ona na „przodku“ kopalni. Kiedy po rozsadzeniu ścian węglowej dynamitem rębacz podchodzi do niej krokiem ostrożnym: wtedy się to zaczyna. Jego oczy mają wyraz skupionej uwagi. Jednym uderzeniem kilofa, jednym lekkim uderzeniem odwala tony węgla. Wałą się z cichym szelestem góry węgla i mimo oślepiającego blasku latarki robi się ciemno od pyłu. Potem inni rozbijają złomy na drobne kawałki, inni ładują łopatami do rynien lub pasów,

które podrzucają węgiel coraz dalej aż do czekających wózków. Rynny poruszają się w tył i w przód i w ten sposób ładunek wędruje korytarzami, ciągnącymi się nieraz parę kilometrów. W tych ciemnych korytarzach rozjaśnionych rzadko żarówkami płynie węgiel z miarowitym, cichym łoskotem wśród śmiertelnej ciszy. U wylotów tych rynien czy pasów (zależnie od kopalni) czekają pociągi elektryczne. Węgiel ładuje się do żelaznych wózków. Wózki jadą z błyskawiczną szybkością długimi korytarzami, zgrzytając śpiewnie na gwałtownych nieraz zakrętach. Potem wjeżdżają do windy, która posiada też niemałą szybkość (10 m na sekundę), a jedzie czasem ponad kwadrans. Z niej znowu wypadają na szynę i jadą do punktów zsypania. Tam wyładowuje się z nich węgiel do wagonów, przeważnie sposobem mechanicznym (czepaki, napowietrzne wagony). Węgiel musi być załadowany. Bo leżąc w zwalach może się zapalić, a pożar jest bardzo trudny do ugасzenia. Węgiel musi natychmiast odjechać w świat.

Rozumiecie teraz, dlaczego na Śląsku panuje taki pośpiech. Zaczyna się od jednego człowieka „na przodku“, a kończy się na każdym mieszkańcu Śląska. Gdyż idzie nie tylko o węgiel. Piece hutnicze muszą się palić bez przerwy i muszą wysyłać swoje wytwory natychmiast po opuszczeniu huty. Pracują fabryki przemysłu spożywczego, garbarskiego, chemicznego, szklanego, porcelanowego, aż do narzędzi precyzyjnych, maszyn, przyrządów optycznych. Buduje się nowe warsztaty pracy lub remontuje zniszczone. W Dworach pod Oświęcimem odnawia się olbrzymią fabrykę benzyny syntetycznej.

Ale jest jeszcze inny Śląsk, tzw. zielony. Jedzie się przez ten kraj gładkimi szosami, których daleka perspektywa zanurza się w alejach grabowych (jesienią barwy cynobru i fioleto). Na ich końcu odkrywa się zawsze miasteczka ciche, pełne niebieskich zaułków, czasem upiornych ruin. Życie jest tu inne i dźwiga się powoli. Kontrast jest jaskrawy. Jedziesz samochodem wśród zgiełku, gorączki pracy — i nagle wpadasz w ci-

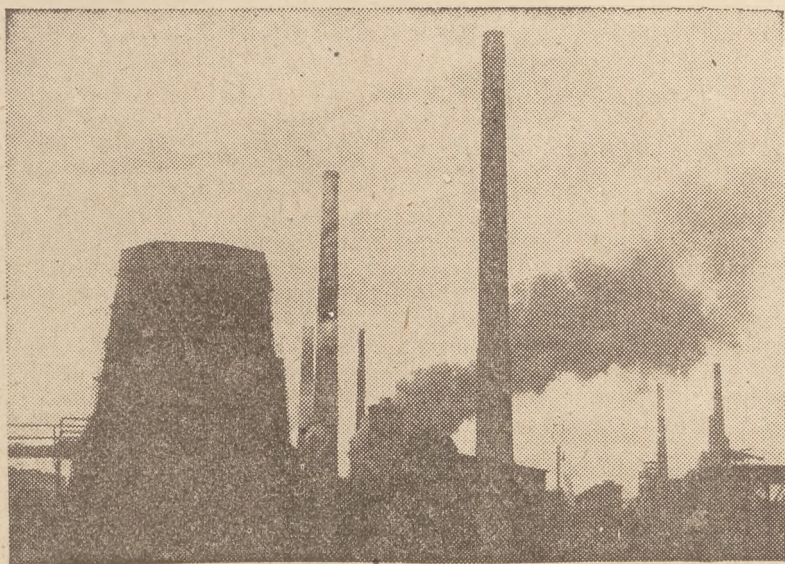
Zaprenumerować

ODRODZENIE

można w każdym urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna 120 zł

Redakcja: ul. Mickiewicza 1, Kraków, Wielkopole 1



Kopalnia Zabrze — Wschód

sze, w jasność, w spokój. Nie ma tu pojazdów mechanicznych, a ludzie zaprzęgni są do małych czterokołowych wózków. Kobiety wiejskie w długich śląskich spódnicach jadą na rowerach powoli, powoli. Jadą czy z koszykiem na targ do miasta, czy z grubą, pamiętającą pradziadków książką do nabożeństwa do kościoła, z którego prześlicznej gotyckiej wieżyczki odzywa się dzwonek. Wieś śląska jest poważna, dostojna swoją tradycją. Przypomina starca, który zna swoje zasługi. Byłaby nim, gdyby nie konflikty z repatriantami.

Przybyśże uważają jeszcze ciągle autochtonów za Niemców. Jak ustala się przynależność? — zapyta ktoś. Odbija się to przez badanie starych metryk i tzw. „ahnepassów“. Na ogół przeciętny mieszkaniec przyjęty „za autochtona“ zachowuje się spokojnie od tego nieprzyjętego. Niektóre wsie, zwłaszcza w okolicy Góry św. Anny, są świadome swojej polskości. Zachwycające się te stare Ślązaczki mówiące pięknym językiem ks. Wujka czy Kochanowskiego. Dużą popularnością cieszą się kursy repolonizacyjne. Posiada je niemal każda wieś, każde miasteczko. Uczą się języka polskiego w słowie i piśmie, uczą się naszej historii, a przede wszystkim historii Śląska. Na takie kursy powinni przyjeżdżać historycy, aby podpatrzeć, podłuchać. Bo przecież żyją tu resztki tradycji ustnej, tysiącletniej walki o zachowanie polskości. Wszak to w pewnej wsi przypomnieli sobie staruszek o śląskim Drzymale — niejaki Szczerbie. „Ja, ja ich kenna“... i zaczął opowiadać, jak to ten chłop wykopał sobie jamę i nie dał się z niej wypędzić żandarmowi: jego najpierw zabił a potem siebie.

Historię Śląska trzeba odgrzebywać. Znajduje się ona pod ziemią, pod tynkiem na ścianach kościołów, na płytach grobowych rozmaitych Mieszków, Przemków, biskupów. Znaleźć ją można w napisach łacińskich w kruchdach, w starych niemieckich księgach, w monografiach miast, w nanizanych na sznury monetach gospodyń śląskich, w książkach do nabożeństwa, wreszcie w legendzie ludowej. Pod Czantorią spali rycerze Bolesławowi. W Beskidach śląskich wojował Ondraszek Szebesta. Historia Śląska jest stara, starsza niż reszty Polski. Gdy w głębi Polski było pustkowienie, tu na Śląsku kopano już żelazo i złoto. U Ptolomeusza można znaleźć wzmianki, że w okolicy Miedzianej Góry były kurnice i przetapiano w nich jakimiś nieznanymi sposobami rudę na żelazo. Strigo u Ptolomeusza to wszak nic innego tylko Strzygów. Stary to kraj, o starej kulturze.

Dziś kultura rozwija się w świetlicach. Istnieją sławne chóry, liczące sobie nieraz ponad sto lat. Teatrów amatorskich naliczono na Śląsku 1500, a liczba ich stała wzrasta. Lud jest kulturalny, ocytany, mający zdolności muzyczne, teatralne i niejedną

tutejszy teatr amatorski może rywalizować z teatrem zawodowym. Imprezy odczytowe cieszą się dużym powodzeniem i prelegenci są przyjmowani nieraz bardzo, aż za bardzo uroczysto, jak to mi się zdarzyło np. w kopalni w Kamienogórze koło Wałbrzycha. Kiedy wszedłem na scenę, zdziwiłem się ujrawszy, że poza mną ustawili się poczet sztandarowy, a przed sceną orkiestra górnicza zagrała „Jeszcze Polska“... Oczywiście wszyscy wstali. To samo było po zakończeniu wieczoru autor-skiego. Życie towarzyskie też przeniosło się do świetlic. Karczmy, choć jeszcze zapełnione, tracą jednak coraz więcej klientów, którzy przenoszą się do świetlic. Zresztą w świetlicach są również bufety, ale są też i bilardy, szachy, gazety, książki. Dziwi się niektórym przyjeźdni prelegenci, że nikt nie przychodzi na ich odczyty, zaafiszowane, zaanonsowane w prasie. Bo też nie ma tu publiczności „prywatnej“. Jest publiczność świetlicowa i gdy tam się zgłasza, będą mieli pełną salę.

Politycznie Śląsk jest zwarty dookoła bloku demokracji. Iles tam tysięcy członków PPR i PPS, świetnie zorganizowane i działające koła partyjne, gazety obu partii, „Trybuna Robotnicza“ i „Gazeta Robotnicza“, są czytane skrupulatnie, przy czym „Trybuna Robotnicza“ jest chyba najpoczytniejszym dziennikiem w Polsce (ponad 250.000 egzemplarzy nakładu dziennie).

Uświadomienie klasowe wzmogło się jeszcze po przyjeździe górników polskich z Francji i Belgii. Śląsk staje się Asturią Polski. Stał promieniem na całą Polskę myśl robotnicza i tutaj leży przyszłość Polski ludowej. Tutaj także powstaje bogactwo narodowe. Wraz z górami węgla i stali rosną będą góry złota. Rosnąć będzie bogactwo. Ale nie tylko bogactwo materialne. Iles tu szkół zawodowych! Nie lubię podawać cyfr, ale wiem, że jest ich tu niezliczona ilość, tych szkół zawodowych, rzemieślniczych, technicznych, — których nam tak dotąd brakowało. Zdolna jest młodzież tujejsza, te chłopaki i dziewczęta, zwłaszcza dziewczęta — jak ten kraj szorstkie, zadzierzyste, dokładne i pracowite.

Byłem właśnie w hucie „Pokój“ w Nowym Bytomiu. Chłopcy i dziewczęta zgromadzili się na próbę w swoim teatrze. Był ze mną wysoki urzędnik województwa, który przyjeżdża tu prawie co wieczór, aby reżyserować „Dziady“. Zresztą oni tu tak wszyscy. I wojewoda Zawadzki, były górnik i wicewojewodowie: Ziutek, powstaniec śląski, — Arka Bożek, chłop opolski — przychodzą do górników i hutników, zasiadają wśród nich na pogawędkę i poradę. Warto posłuchać, jak mówi Arka Bożek tym swoim prześlicznym, starym językiem opolskim.

Były to zaledwie pierwsze zarysy „Dziadów“. Reżyser chodził po scenie i tłumaczył, ustawiał, pokazywał gesty, a potem chłopcy i dziewczęta zagrali. Jak świetnie opanowali głosy, gesty, jak pojeśli w lot wskazówki. Gdy próba się skończyła, jeden z chłopaków usiadł przy fortepianie i zagrał dwoma palcami śląską piosenkę. Wszyscy zaśpiewali o dziewczynie z Gogolina, a potem zatańczyli. Jak oni pięknie tańczy!

Gdy wsiadaliśmy do samochodu, była jesienna noc i nad hutą rozpostarła się nagle olbrzymia, purpurowa luna. To płynne żelazo wylewało się do formy.

Jan Brzoza

ZOFIA SIWICKA

Sztuka, w której chciał grać Jaracz

W ostatnich latach przed wojną Jaracz planował wystawienie kilku nowych rzeczy, tj. właściwie nie nowych, ale na nowo przemyślanych, opracowanych i przeżytych. Pod tym kątem widzenia zabierał się do Szekspira, szukając dla niego nowej szaty przekładowej, gdyż w starej — jak mówił — czuł się nieswojo, oficjalnie i koturnowo. Wyczuwał instynkt, że ze Szekspirem można się porozumieć inaczej, że jest w nim realizm i prawda przeżyć ludzkich, dziś tak samo żywa, jak była nią kilka wieków temu — że to, co dzisiejszego człowieka oddala od sztuki Szekspira — to tylko forma, którą trzeba skorygować i zbliżyć do oryginału — że wtedy dzisiejszy człowiek nawiąże z nim bezpośredni kontakt jak z kimś, kto go znał lepiej, niż on sam siebie, kto czytał w jego sumieniu, znał namietności i ich niszczycielską władzę nad wolą, rozumiał upadki i wzloty — kto umiał śmiać się szczerem, beztrojskim śmiechem. Dlatego Jaracz szukał usilnie tej nowej formy szekspirowskiej sztuki, starając się udzielić swego entuzjazmu tym, którzy mieli być wykonawcami jego planów. Jesienią roku 1939 miał grać „Otella“ — marzył też o „Makbecie“.

Ale oprócz Szekspira myślał Jaracz i o innych autorach. A więc Galsworthy. Interesowały go sztuki o zagadnieniach społecznych. A więc „Walka“ — konflikt robotników i rady nadzorczej fabryki z dwoma świetnymi typami fanatyków — starego prezesa rady nadzorczej i przywódcę robotników. Sztuka grana w Łodzi w r. 1938.

Sztuka „Sprawiedliwość“ przedstawia człowieka z jego (pozorną zresztą) winą, postawionego przed wszechmocnym trybunałem decydującym o jego losie. Niezwykła scena w tej sztuce, to scena w celi więziennej. Więzień, jak zwierzę w klatce, obiega kilkumetrową przestrzeń, na próżno szukając jakiegokolwiek kontaktu ze światem zewnętrznym w śmiertelnej twordze przed szaleństwem, które stopniowo zaczyna go ogarniać. Scena, której bezpośrednim efektem była... zmiana przepisów więziennych w Anglii.

Ale Jaracz chciał nade wszystko grać „Dach“. „Dach“ — sztuka napisana przez Galsworthy'ego pod koniec życia — jest najbardziej nowoczesną z jego sztuk. Mały hotelik w Paryżu, znany ze świetnej kuchni. Sława kuchni a także chęć przywrócenia się życiu ściąga tu sporo cudzoziemców z kanału. Hotel widać jakby w przekroju. Każda scena to prawie identyczny pokój, tylko ludzie w nim inni i w każdym inne życie: komedia, groteska, tragedia, śmiech, miłość, śmierć. Te rozmaitości życia łączy jedna osoba wędrująca po wszystkich piętrach, stary kelner — filozof-mędrzec, bohater — a tak, na oko — skromny biedaczyna, usługujący każdemu. W hotelu wybucha pożar. Jeszcze pół godziny temu wszystko szło normalnym trybem, ludzie żyli jak co dzień. Nagle tych samych ludzi, te same sprawy, widzimy w świetle katastrofy.

„The soul has way of coming out under pressure“ — „Dusza ma zwyczaj ukazywać się pod ciśnieniem“. Na tę właśnie okazję, na to ukazanie się duszy, na to prawdziwe oblicze człowieka czekał Galsworthy i — Jaracz. Sprawy, które się wlokły, wahania, mełne projekty decyzji poddane nagle działaniu wielu tysięcy woltów momentalnie się kryształizują. Człowiek i jego sprawy przechodzą próbę ogniową w dosłownym i przenośnym znaczeniu.

Jeden z gości hotelowych, chory na serce powieściopisarz Lennox (może i sam Galsworthy), oddany poszukiwaniu prawdy o człowieku, powiada: „Czego żałuję najwięcej, to tego, że nie byłem w skórze każdego bliźniego. Pomyśl — mówi do żony bezradnie — nie możesz przyjrzeć się ludziom, nie możesz podsłuchać ich prywatnych rozmów, nie możesz nawet dostać się pod ich łóżka, nie możesz uczynić nic, co by ci dało prawdziwie ich poznanie“ — a przecież „moim zadaniem jest mówić, jak ludzie czują i myślą, chociaż tak nie

wyglądają, ani tak nie postępują“. Tak pojmuje Galsworthy zadanie pisarza. Toteż i tutaj, żeby pokazać, czym ci ludzie są naprawdę, rzuca na nich najsilniejszy reflektor — reflektor katastrofy.

„Teraz jest czas pokazać, kto kim jest“ — woła w chwili wybuchu pożaru jeden z młodych ludzi. Ależ bo ci młodzi są prawie pijani. Pijani nie tylko niezliczoną ilością coctailów — pijani są Paryżem, jego podniecającą atmosferą, pijani świadomością, że są młodzi, że mają nieskończone możliwości. I nagle, jak grom pada wyraz: „pożar“. Moment wahania, skupienia się w sobie i oto ci sami „złoci młodzieńcy“ stają się



Stefan Jaracz

karni, przytomni i ofiarni. Ich zacięta ofiarność jest naturalna, spokojna i rzeczowa. Nie ma w tym bohaterstwa, tylko prosta, może większa, niż zbyt często używane słowo — uczciwość wobec siebie.

Inny pokój. Dwa podłotki, które pierwszy raz znalazły się w Paryżu, chłoną całą siłą wyobraźni i dziewczęcych przerwanych romantyzm nieznanymi, cudownych przeżyć. — Tym razem pożar nie jest katastrofą — dla nich to jeszcze jedno przeżycie, jeszcze jedna nowość, jeszcze jedno podniecenie. Ale ojciec! Ojciec chory na serce! — Jak ojciec to zniesie? W to bezchmurne dzieciństwo wżera się pierwsza troska. I katastrofa jednak przychodzi. Dziewczęce usta się zaciskają, hamując łzy, by podtrzymać zdruzgotaną matkę. Rozbawione dzierlatki spójrzały po raz pierwszy oczami dojrzałych przez ból kobiet.

Jeszcze inny pokój: podstarzałe, stetryczale małżeństwo. Leżą pionowo do widowni. On stara się zasnąć, ona jak mucha brzęczy mu nad głową. Trzeba było widzieć Jaracza czytającego tę scenę! Twarz jego coraz to rozjaśniała się uśmiechem. Rzucał tekst na stół wołając: „Cóż to za wspaniała scena!“ Maż, po raz dziesiąty ściągnięty z łóżka, w szlafroku i pantoflach poluje na brzęczącego gdzieś pod sufitem komara. Zona, wyjątkowo tym razem nie w opozycji, komenderuje nim z łóżka. Jaracz dusił się ze śmiechu, jak dziecko: „Takimi prostymi środkami — tyle humoru!“ Humor zresztą nie opuszcza tej sceny aż do końca, bo nawet w obliczu katastrofy leciwa dama, tracąc bezcenne minuty, starannie upina przed lustrem koafiurę, gdyż nie chce się ludziom pokazać „jak straszdyło“. Nieszczęsny maż musi w ostatniej chwili kontrolować, czy nocna koszula nie wystaje jej spod płaszcza. Iles jednak ta, zdawałoby się, zatwardziała egoistka ma przywiązania do maltretowanego przez siebie męża w tragicznej chwili na dachu, ile delikatnej dobroci w stosunku do osieroconych dzieci!

A miłość? — Oto para zakochanych: on trochę egzaltowany młodzieniec, ona zawiedziona w miłości małżeńskiej poddaje się urokowi nowego uczucia. Są pierwszy raz sami. Przejchali właśnie Kanał. W Paryżu mają razem „skoczyć w ciemność“. Młodzieniec oszołomiony sytuacją, szczęśliwy i opiekuńczy — ona niepewna własnego uczucia, niepewna trwałości zapałów partnera, szuka sposobu skontrolowania, poddania próbie ich wzajemnego stosunku. I próba przychodzi jako nieoczekiwane realistyczne zgryzot. Zamiast „skoku w ciemność“ — trzeba pakować rzeczy i biec na dach między

ludzi, którzy zdemaskują cudowne incognito, w ogniu i dymie czekać ratunku i zachowania już nie uczucia — lecz po prostu życia. Ale właśnie zetknięcie z realną rzeczywistością odsłania nowe wartości tych dwojga ludzi. Spojrzeli na siebie nie przez mgłę romantycznego rozmarzenia, ale jak dwaj przyjaciele. Wyszli z kręgu osobistych zapatrzeń do ludzi, którym trzeba pomóc, dla których trzeba nawet narazić życie. I to okazało się silniejszą spójnią, trwałą podstawą, niż górnolotne słowa. Oboje przeculi ogniową próbę.

Jaracz długi czas wahał się, jaką rolę wybrać dla siebie. Nęcił go stary kelner swą nieskończoną cierpliwą wyrozumiałością dla wszelkich ułomności ludzkich, swym głębokim zrozumieniem wszelkich stanów psychicznych i niesłychanie subtelnym a prostym stosunkiem do ludzi. Ale wreszcie urzekła go inna postać — postać powieściopisarza Lennox. Chory na serce Lennox od początku sceny jest na granicy życia. Patrzy retrospektywnie i jakby obiektywnie na własne dokonania, stwierdzając z żalem, że dane mu było niewiele wypełnić. Ludzie, których miał przejrzyć na wyłot, pozostali dla niego zagadką — nie umiał wkraść się w ich zaufanie na tyle, by mu otworzyli najszybsze zakamarki swej duszy, które on, pisarz, znać powinien. Bo inaczej nie może powiedzieć, że spełnił swe zadanie na ziemi. Ale jest jeszcze druga sprawa, — bardzo osobista — sprawa przejścia na tamten świat, o ile w ogóle istnieje. Z żoną, lekliwie wpatrzoną w jego umęczoną twarz, mówić o tym nie może — ale w młodej pielęgniarce wyczuwa człowieka, który wiele przeszedł. Rozmowa z nią, możliwość wyznania lęku przed śmiercią przynosi mu ulgę. Ta rozmowa, te kilkadziesiąt prostych słów — to szczyt porozumienia człowieka z człowiekiem. Tak porozumiewać chciał Jaracz.

I tu przypomina się inna rozmowa — prowadzona z Jaraczem w sześć lat potem, gdy miał grać Lennox. Było to w Otwocku, na jakie sześć tygodni przed jego śmiercią. Jaracz był już cieniem człowieka — fizycznie. Duchowo stał może wyżej niż kiedykolwiek. Spokój i pogoda mimo cierpień fizycznych — głęboki wgląd w tajniki sztuki. Zrozumienie i wczucie się w duszę ludzką, które zawsze cechowały go na scenie — nabrały wtedy szczególnej bezpośredniości.

Mówił z uśmiechem iż wie, że niedługo umrze. „To już sprawa załatwiona“ — szeptał. — „Nie od razu tak było. Buntowałem się na myśl o śmierci. Ale raz zawieźli mnie do szpitala. Razem ze mną przywieźli jakąś starszą panią, ciężko chorą. Lekarz, poprawiając opatrunki, zwrócił się do niej ze słowami: „Może pani zechce podnieść się trochę“. — „Panie doktorze“ — odpowiedziała dumnie — „ja mam tytuł hrabiny“. „Może pani hrabina...“ — poprawił się wobec tego lekarz. Następnego dnia odbyła się operacja. Stan był beznadziejny. Wiedziała o tym. Lekarz czuwał przy jej łóżku. Nagle odwróciła do niego głowę i rzekła wolno: „Pan może mi już nie mówić — „hrabino“. — Przedyskutowała ze sobą tę sprawę. Ja także tę sprawę ze sobą przedyskutowałem“.

Tak mówił na niewiele dni przed śmiercią. Ale już dawniej te rzeczy musiały widać w jego umyśle nurtować i dlatego ta jedyna pod względem prostoty i bezpośredniości rozmowa przypadła mu tak do serca. Rzeczywiście dziwna ta rozmowa, bo nie można oprzeć się wrażeniu, że i sam Galsworthy, który pisał tę scenę niedługo przed śmiercią, musiał w nią włożyć wiele osobistych rozmyślań i obaw, którymi nie chciał, czy nie mógł dzielić się z otoczeniem. Jest tu jakieś trudne do ujęcia w słowo przekroczenie granicy między literaturą a życiem, jakieś porozumienie człowieka z człowiekiem, niezależnie od wszelkich warunków zewnętrznych, jakie mogłyby tych ludzi dzielić, najgłębsze braterstwo ponad granicami państw i przekonań. Taką sztukę chciał wystawić Jaracz. Miał w niej grać w r. 1939.

Zofia Siwicka

ZOFIA SZWACZKOWA

GIZELA

POWIEŚĆ

STRON 310

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

TADEUSZ PEIPER

FANTAZY ŻENI SIĘ

I

Wróciwszy do kraju, osiadł w swych dobrach i — jakby życie romansowe dobre było tylko na zagranicę — powziął postanowienie ożenku. Nie minęło pół roku od wyjazdu z Rzymu i porzucenia Idalii, a już zdążył stanąć w przededniu ślubu. Na żonę wybrał sobie córkę zrujnowanych sąsiadów, Dianę Respektównę, o której potem matka pisała, że w porównaniu z Idalią jest jak świeca gasnąca w blasku słońca. Zarówno szybkie postanowienie ożenku, jak i wybór przyszłej żony, świadczą, że współżycie z Idalią coś we Fantazy zmieniło, że czymś w jego przywiązaniu do dotychczasowych wzorów życiowych zachwiało.

Odwróciwszy się od tych wzorów, rzucił się w ich przeciwieństwo, rzucił się w nie z łatwością możliwą tylko u takiego donkichociątka jakim był on. Upatrzoną dziewczynę zapragnął poślubić w sposób tak wyraźnie przeciwny pięknu i poetyczności że sięgnął aż po cyniczną nikczemność: ponieważ zrujnowani Respektowie zmuszeni są wydać córkę za bogatego, a on jest bogaty, zapragnął sprawę małżeństwa potraktować jak handlową transakcję. Szczegóły katastrofy majątkowej Respektów, które on na pewno znał, nadają jego nikczemności jeszcze bardziej odpychający odcień. Pół miliona złotych, które Respektowie biorą od niego jako intercyzę, to ich należność wobec skarbu carskiego; mają innych jeszcze wierzycieli, ale łagodnych; ten jeden jest nieubłagany, szczególnie w stosunku do Respektów, kłóci z przeszłością sybirską. A losem Respektów dotknięci będą także chłopcy przynależni do ich dóbr; po ich chałupach lada dzień rozmieszczeni będą żołnierze egzekucyjni; wsie ogarnięte są rozpaczą. Nic z tego wszystkiego nie ma dla Fantazy znaczenia.

Handlowa transakcja — tego zapragnął. On, z taką łatwością zdobywający kobiety, wyrzekł się teraz swej mocy zdobywcy, postanowił nie dbać o miłość swej narzeczonej, postanowił otrzymać ją nie kochającą, nabyć za pieniądze, kupić, kupić jak towar. Nie zadał sobie nawet trudu, aby ją przedtem poznać. Daleko idące kroki matrymonialne załatwił przez przyjaciela, Rzecznickiego, i gdy wchodził w dom Respektów dla doprowadzenia transakcji do końca, nikt z nich nie znał go osobiście.

II

Przechodząc przez przedpokój, zauważa herkulesową budowę lokajów i wyciąga stąd wniosek — nie wiadomo: demograficzny czy pornograficzny — że także córki Respektów powinny mieć urodę niezwykłą. Ten wniosek to pierwsza jego myśl po wkroczeniu w dom z którego ma wziąć sobie żonę.

A pierwsze jego postanowienie: udawać. Wiele dotychczas udawał i — jakby udawanie stało się jego nałogiem — będzie udawał dalej. Ale teraz warunkowo i inaczej. Warunek: będzie udawał jeśli w Diannie nie zakocha się. Inność udawanie będzie wolne od wpływów poezji. Będzie udawał że nie widzi urody Dianny i że nie ma o niej nic do powiedzenia, będzie udawał że jest ślepy i niemy, będzie udawał zupełną obojętność. Ma to być jednym ze sposobów zmrożenia uczuć narzeczonej, które ich pobraniu się ma zapewnić charakter kupna i sprzedaży. Na obojętności nie poprzestanie. Będzie jeszcze mroził ogłoszeniem siebie ze wszelkiego powabu; będzie udawał głupstwa, zażenowaną pannę, nieporadną dziewczę. Mówić i działać będzie za niego jego przyjaciel, Rzecznicki.

Oczywiście ten plan udawania powzięty warunkowo, straci rację bytu, jeśli Fantazy zakocha się w narzeczonej. Ale czy się zakocha?

III

Spełnia to co uplanował. Jak wstydliwy dzieciak kryje się za Rzecznickim, depcze mu po piętach, chce wyglądać na zapomnianego, sztabacko dopomina się o rekomendowanie, stara się nic nie mówić, a gdy już

musi coś powiedzieć, mówi nonsens. Poproszony do sąsiedniego salonu, hebesowato rozkłada swe wyjście na kroki, ciągle uzależniając się od wskazówek Rzecznickiego. Potem — gdy przyjaciel zachwala go, wynosi pod niebiosy, opowiada o jego wierszach — głuptas z gry siedzi przy stole nieporadnie nieśmiały, panieńsko zagapiony w talerz, i jakby w ogóle nie umiał prowadzić rozmowy, nie rozmawia wcale z narzeczoną.

Taki jest aż okoliczności zmuszają go poddać rewizji plan udawania.

Przybywa ze Sybiru major rosyjski, przyjaciel Respektów z czasu zesłania, a z przybyciem nowego gościa przestają gospodarze domu zajmować się Fantazym, nie zwracają na niego żadnej uwagi, całkowicie zapominają o nim. Doprowadza to zuchwałego do oprzytomnienia. Zaczyna rozumieć, że przeceniał swą wartość dla przyszłych teściów, gdy sprowadzał ją tylko do swego bogactwa, do ratunku jakim ma ono być w ich majątkowej ruinie. Zaczyna rozumieć, że Respektowie, dając mu córkę trybem transakcyjnym, uwzględniali nie tylko jego pół miliona złotych ale także zalety światowca i człowieka kultury, jakie przypisywała mu opinia towarzyska. Zaczyna rozumieć, że intelektualne zdegradowanie się, na które sobie pozwolił, obniżyło jego wartość tak niebezpiecznie, że może matrymonialną transakcję udaremnić.

Jest ono ryzykowne także ze względu na postać narzeczonej. Rozmowa, jaka toczyła się o Sybirze w związku z przyjazdem majora rosyjskiego, odsoniła w Diannie człowieka nieprzewidywanego. Przypuszczał w niej dziewczynę pospolitą, a nie jest nią. Niewiele czasu wystarczyło, aby prócz urody mógł w niej stwierdzić głęboką szlachetność i dumę. A przy tym okazuje się, że Dianna kocha kogo innego. I nie byle kogo. Sybiraka! Fantazy nie tał przed sobą trudności, jaką nawet dla najbardziej ponętnego rywala jest Sybirak, gdy zajmie serce szlachetnej Polki. Całość postaci Dianny zmusza go do poważnego zastanowienia się jakim tonem z nią mówić.

Zarówno nieoczekiwana postać Dianny, jak i nieoczekiwane postępowanie rodziców sprawiają, że grę głuptaska zarzuca, mimo że miał ją zarzucić tylko na wypadek zakochania się.

Nie kocha Dianny. Zrobiła na nim nieprzewidywane wrażenie, serce jego coś uczuło, może szacunek, może sympatię, ale nic co by zwiastowało miłość. Jej wzejściu przeszkadza zresztą jego przeszłość. Chodzą mu po głowie różne barwne światła, różne tony, różne wonie, które wylaniają ze siebie wspomnienia miejsc dawniej zwiedzonych, a każde z nich ukazuje mu jakąś postać kobiecą z jej twarzą i wonią, ukazuje ją z taką siłą jak gdyby wspomniana kobieta była upiorem, czy pół upiorem, choć żyje tylko w jego wyobraźni, choć jest tylko „myślą”. Już to samo wystarczałoby, aby te „myśli” szkodziły terazniejszości uczuć, aby przeciwdziałały wschodowi miłości nowej, stałej. Ale w tych wspomnieniach tkwi jeszcze inna przeszkoda. Fantazemu — jak często uwodziłom jego typu — marzy się kobieta, która by mniej działała siłą namiętności, a więcej siłą ducha. I oto kobiety dawniej znane, które pojawiają mu się w owych „myślach”, są dla niego piękniejsze od rzeczywistych, bo — będąc wspomnieniem — mniej są wyraziste, mniej cielesne, mniej namiętne, mają w sobie więcej gorąca duchowego. Owe to „myśli” przeszkadzają teraz uczuciom jakie we Fantazym mogłaby wzbudzić Dianna.

Skoro jej nie kocha, nie zmienia nic w zamiarze nadania ożenkowi charakteru kupna. Świadom jest nikczemności swego zamiaru, jego podłości, ale usprawiedliwia ten zamiar kuszeniem wewnętrznego szatańa i trwa przy nim.

Pozostanie nabywcą Dianny, ale nie pozostanie głuptasem.

IV

Na najbliższej herbatce jest już światowcem, który bryluje w konwersacji, mówi o ludziach z pogardliwą nonszalancją, jawnie wywyższa się ponad wszystkich. Taki te-

raz ton obrał. Używa go także, gdy zostaje sam na sam z Dianną i oświadcza się jej.

Oświadczyły ogałaca całkowicie z wszelkiej delikatności. Zaczyna je bez żadnych przejść, choć w ogóle dotąd z Dianną nie rozmawiał. On, który tak dobrze umie stwarzać nastrój pozyskujący kobiety, nie korzysta w tym wypadku z żadnego z „poetycznych” rekwizytów, jakich mogłoby mu dostarczyć piękno otaczającego ogrodu, lecz złośliwie wskazuje na samowar, z którego kapie woda. On, który tak chętnie posługuje się przenośniami, używa ich teraz tylko dla usprawiedliwienia cynicznej bezwzględności z jaką rzuca przed panną słowo „mariaż”, choć wie, że życiowe konwenanse czynią z tego słowa strasydło, które straszy nawet wtedy, gdy przynosi radość. Drwiąco wspomina potem klekanie amantów, i zaraz pyta Diannę o zgodę, a czyni to dwoma słowami, w których jest przerwanie wszystkich myśli nasuwających się dziewczynie i pyszałkowane żądanie szybkiej odpowiedzi. W końcu pada z jego ust dwuznacznik, który dopełnia miary beczelności.

Otrzymuje odpowiedź, która ma w sobie blask błyskawicy i huk grzmotów. Prócz zręcznych zygmatów słownych, z których Fantazy ma się dowiedzieć, że Dianna uważa go za monstrum, za pomietłą perłę niepodobną do tych, które odpowiadają naturalnemu smakowi — i prócz dumnych słów, z których Fantazy ma się dowiedzieć jak wysoko ceni Dianna samą siebie — odpowiedź jej zawiera słowa, które biją dotkliwie w zasadniczy zamiar Fantazy. Chciał, aby ślub był kupnem? Ma ona w sobie dość odwagi i szczerości, aby podjąć ten drażliwy temat, bo wśród motywów, dla których godził się na małżeństwo z monstrualną perłą, działa obok względów na los rodziców także wzgląd na los przynależnych im chłopów, a i ci błagają ją o ofiarę. Ofiarę tę weźmie na siebie, jeżeli wszystkie inne sposoby ratunku zawiodą (i — czego Fantazemu wyjawiać nie może — tylko do tych granic, które dla ratunku są niezbęd-

ne: po ślubie poderwie sobie gardło). Na razie jeszcze ma nadzieję, że coś niewiedomego może jej ofiarę uczynić zbyteczną. Pan Fantazy pyszałkowato żąda szybkiej odpowiedzi? Właśnie takiej nie otrzyma. Musi czekać na odpowiedź. Musi czekać na nią choćby jeden dzień.

„Co za duch! O Jezu!” — wykrzykuje Fantazy, gdy zostaje sam. Jego słowa nie są przeznaczone dla ludzi, wyrwały mu się z ust, wyrwały mu się z duszy. Są prawdziwą prawdą przeżycia i prawdą wyrazu. Jako wyraz są tak naturalne, jak może żadne inne ze znanych nam jego słów. To zwyczajne „O Jezu!” — jakżeż ono odbija od literaturyzujących ujęć, w jakich się Fantazy lubuje i jakie za chwilę zastosuje wobec przyjaciela, gdy nazwie się szalonym i będzie przyzywał wichry i burze!

Bo też Dianna postawiła go wobec prawdy duchowej i wobec rzeczywistego piękna duchowego, które takim donkichociątkom jak Fantazy i jego różne Idalie, zawsze imponują. To, co Fantazy tylko fałszował, i to, co fałszowały jego Idalie, to w Diannie żyło istotnie. Rzeczywistym pięknem przeżył i prawdą ich wyrazu uderzyła Dianna we Fantazę jak obuchem. „Co za duch!” — wykrzykuje o niej, a przecie tyle mówiła o ciele. Ale mówiąc o nim pięknie, mówiła o nim także prawdziwie, i ta prawda o ciele podniosła w jego oczach siłę jej ducha. Idalie, z jakimi miał do czynienia dotąd, postępowały inaczej. Nagle w Diannie znajduje Fantazy takie połączenie cielesności z duchowością, jakie najbardziej odpowiada jego naturze i wobec którego przestają szkodzić owe pół-upiory jego przeszłości, owe „myśli” wspomnieniowe, w których znane dawniej kobiety pojawiały mu się piękniejszymi i lepszymi niż były w rzeczywistości i rywalizowały z kobietami nowo poznawanymi. Pół-upiory przestają więc szkodzić kielikującemu teraz uczuciu nowemu. Fantazy jest bliski zakochania się w Diannie. Czuje, że będzie to miłość prawdziwa i że wniesie prawdę w jego życie w ogóle. Czuje, że dokonana się w nim wielka, ogromna przemiana.

W tej właśnie chwili, kiedy widzi przed sobą drogę wiedzącą do życia nowego, zagradza mu ją jego własna przeszłość. Już nie wspomniana tylko, ale żywa. Idalia!

V

Czy Idalia podążyła za Fantazym z miłości? Ani słowem o niej nie mówi — ona, która tyle mówi o sobie. Pewne jest tylko: utrata Fantazy stanowiła dotkliwy ubytek dla jej świata urolei. Straciwszy go, zrozumiała lepiej wartość jaką miał dla niej, choć niejedno w nim powodowało w niej niedokwasy. Zrozumiała, że dla gry życiowej, którą grała, on był najodpowiedniejszym partnerem.

Przybywszy do domu Respektów szuka zaraz sytuacji... ycznej. Literackiej, dramatycznej, tragicznej, poetycznej. Pragnie ukazać się Fantazemu nagle jak mara, i w girlandach kwiatów, i z wzrokiem sztyletującym serce. Przypadek chce, że — znalazłszy ukrycie, z którego miała wyjść piękna i straszna — natrafia na opowiadanie Fantazy o Rzymie, w którym wkrótce pojawia się także ona, ale... wydrwiona. Nie może słuchać, porzuca ukrycie, wraca do dworu i szuka komentarzy, którymi będzie mogła nadać drwinom Fantazego pomyślnie dla siebie znaczenie.

Postanawia całkowicie zejść mu z oczu. Nie będzie przeszkadzała jego małżeństwu z Dianną. Odeście będzie dla niej smutne tylko częściowo, będzie w nim także radość, jaka daje podobieństwo do Rzymianek lub Florentynek uwiecznionych kolczastymi wiankami, radość jaką daje możliwość wynoszenia się nad innych. Odejdzie, cofnie się w zacisze swego domu. Zrezygnuje z dawnych marzeń. Marzyła o pięknie jakie wnosi w życie książęcy, ale to było w Italii. Polski książęcy tego piękna dać nie może. Trzeba tamten zastąpić czym innym, a czymże można

KRAJOBRAZ ZIEM ODZYSKANYCH



Ludwik Tyrowicz

Bystrzyca

zastąpić go w kraju? Idalia znajduje tylko jedno: rodową staroświecczynę. Nad stolikiem, na którym patronował jej włoskim nocem księżyc, zawiesi portret prababki. Będzie to dla niej piękno proste. Usiadzie nad kresnami, jak to czyniły kobiety dawnej Polski, i przedać jedwabie, będzie myślała o...? O Fantazym? Także o nim. Będzie myślała o innych jeszcze modnisiach, którzy zawdzięczają jej niejedną podniętę, a teraz jej nie znają. Taką już jest ta Idalia.

Wszystko to jednak, cały ten obraz nowego życia, rozwiewa się momentalnie, gdy błyska możliwość odzyskania Fantazego. Traf zrzędził, że mogła podsłuchać rozmowę Jana ze siostrzyczką Dianny, a ta rozmowa ukazała jej sytuację nieprzypuszczaną. Była pewna, że Dianna kocha Fantazego, a że o niej samej, o Idalii, ludzie mówią, iż jest egzaltowana, musiała mieć z egzaltowanych także zdolność przebaczenia, więc przebaczyła Diannie i gotowa była wycofać się, aby nie zadawać jej tortur. Nagle dowiaduje się, że tortury widzi Dianna właśnie w małżeństwie z Fantazym! Zgola nie przypuszczany stan rzeczy. Nabiera przekonania, że Dianna i Fantazy to para całkowicie niedobra, a skoro tak, to istnieje możliwość rozbięcia jej. Postanawia ją rozbić. Postanawia uczynić to przy pomocy tego właśnie nieznanego Jana, którego losy przez podsłuchanie poznała.

Gdy Jan pozostaje sam, podchodzi do niego i zaczyna intrygę. Jan leży nad potokiem. Idalia kłeka przy nim i dotyka jego rosyjskich wyłogów. Mówi sobie, że ma to być adoracja śladów zesłańczego męczeństwa, a nie swobodna zaczepka, ale Idalia jest przecież z typu tych, którzy wmawiają w siebie to, co chcą o sobie mówić innym. Rozmowę z Janem od samego początku prowadzi przez ty, i także to swobodne „tykanie” pozoruje motywem wyższego rzędu. Bładać nad jego losem zesłańca, głaszcze go. Gdy

WŁADYSŁAW MACHEJEK

ZA WIELKA MŁODOŚĆ

Za wielka była młodość. Nie rozumiem
innych liści, niż las niesie.
I rzucam głowę ponurą, rzucam ją w tłumy,
jak wczoraj granat pod bunkrów przyciesie.

Wczoraj wyszedłem z gęszczy. W polach zieleni piości,
a jakby za późno — ręka nie zarasta.
Kawaleria czy wiatr wśród kwiełnej zamieci,
kładzie w me oczy gwiazdy, lwy i miasta?

Za wielka młodość. Od bogów leśnych
niosę bułane góry (w kniei jedynie proste).
Czy tylko z karabinem można życie prześnić,
czy ręka utrzyma tylko broń lub kostur?

Za wielka była młodość. Do szumu dąbów
nagrzewała się; z powietrza syła uśmiech.
Czuję — mundur leśny na ciele nie wędnie,
o lasy — lasy, gałęzie ku ziemi opuścić.
Chciałbym jabłonek gniazda w świat wydłużyć
być jak dzwonek, zaprzężony u chłopskiego ranka.
I niech się stroją w jedność wiatr, miłość i pogórze,
niech wygrywam młodość miłą na organkach.

przedstawia własną dolę, gra swym ciałem kusząco. Bługuje, że przywiodła ją tu namiętność. Bługuje, że miłość jej zdobyła rozgłos i sławę. Jeśli mówi prawdę, że została porzucona, to dlatego, że prawda ta jest jej teraz właśnie do prowadzenia intrygi potrzebna, ale już za chwilę bługuje znowu, że — w razie nieotrzymania pomocy w jej teraźniejszym nieszczęściu — odbierze sobie życie. Wszystko to zmierza do tego, aby Jan przyszedł jej z pomocą, aby uczynił to w sposób, który ona nazywa Ariostowym: jako kochankę ma ją z dziedzica Respektów porwać i uwięzić na koniu.

Takim porwaniem chce Idalia podzielać na Fantazego, chce odnowić w nim dawne uczucia. Takie porwanie wzbudzi w nim zazdrość, może nawet skłoni go do wszczęcia akcji przeciw sprawcy raptu, a więc zbli-

ży go do niej, gdyby zaś nie stało się ani jedno, ani drugie, ani nie trzeciego podobnego, to jeszcze ręka Jana może dać jej słodczy zemsty. Planuje przygodę typu Dejaniry. Oczywiście swoich myśli kuszonemu mężczyźnie nie wyjawia. Złożona jej gra komplikuje się jeszcze składnikiem rzeczywistego zainteresowania urodą Jana.

Ale przecie Jan kocha Dianę. Z tą trudnością nie umie Idalia dać sobie rady. Chciałaby między sobą a Janem wytworzyć wspólność celów, a nie wie jak to zrobić. Chwilami zapewnia go, że będzie mu tutaj wiernie służyła sercem, nie umie jednak określić tej służby i z wymijającą tajemniczością prosi, aby Jan nie pytał o więcej. Chwilę później stawia sprawę inaczej: ponieważ w gruncie rzeczy egoistycznie pragnie, aby Jan, przez którego chce

być porwana, nie był hamowany staraniami o Dianę, więc podtrzymuje w nim postanowienie wyrzeczenia się jej i to jego postanowienie chwali jako przejaw męskiej szlachetności. Uświadamia sobie jednak, że w jej ujęciach sprawa przyszłego stosunku Jana do Dianny jest niejasna, mglista; uświadamia sobie, że w tej sprawie układa coś nieokreślonego, nieokreślonego dla niej samej, że sama nie wie dokładnie co tworzy. W tym wszystkim pół świadomie przyjmuje jako samo przez się zrozumiałe, że Jan musi mieć w sobie coś z tych mężczyzn, z jakimi dotąd miała do czynienia, coś z Fantazych, i że da się wciągnąć w romansową przygodę.

Oczywiście myli się. Jan jest innym człowiekiem. Nie daje się wciągnąć w przygodę, w którą zaprasza go ona.

Wobec tego zaczyna z innej beczki. Prosi o duchową pomoc. Niech nią będzie cicha modlitwa, ale także myśl opiekuńcza, która by wyladowywała się w... krzykach. Tak, w krzykach. Niech je słyszy ten, który ją skrzywdził, niech będą one dla niego ostrzeżeniem, że jest ktoś, kto tę krzywdę postawi w obliczu sprawiedliwego sądu. Skoro Jan nie chce wejść w jej plan jako kochanek, niech wejdzie jako opiekun.

Rzekomo przerzuciła się ppter Idalia z płaszczyzny duchowej na finansową i zaproponowała Janowi pieniądze potrzebne do uratowania rodziców Dianny. Rzekomo propozycję posunęła tak daleko, że chciała dać nawet cały swój majątek. Rzekomo propozycję zamieniła aż w błaganie, i uczyniła to z takim uniżeniem, że gotowa była całować stopy Jana, byle tylko pieniądze przyjął. Wersja — nieprawdopodobna i w niektórych szczegółach niedopuszczalnie śmieszna. Wersja — niezgodna z Idalią. Już choćby dlatego, że gdyby Idalia wyzbyła się majątku, wyzabyłaby się bazy podtrzymującej jej typ życia i karmiaczej najistotniejsze jej marzenia, a w ich obrębie także marzenia o współżyciu z Fantazym. Wersja ma w sobie rażące błędy psychologiczne i trzeba ją odrzucić. Chyba, że ktoś zechce Idalii przypisywać nieszczerść i twierdzić, że ona tylko udawała, iż chce dać pieniądze, że udawała po to, aby samo ich ofiarowanie przez Jana podważyło pozycję Fantazego w domu Respektów i uczyniło go podatnym na działania porzuczonej. Ale może takie twierdzenie rozciągałoby zbyttno kłamliwość Idalii? Wprawdzie Jan mówi o niej, że gotowa oddać duszę diabłu, gdyby jej to było potrzebne, ale...

Jakkolwiek bądź — z wielu ohwyków, którymi Idalia chciała wciągnąć Jana w krąg swego planu, nie udał się jej żaden.

Drogi zagroził Fantazemu inaczej.
Tadeusz Peiper

LIDIA ŁOPATYŃSKA

OTELLO 38, MARTINA I GASTON

W artykule swoim „Sprawa precyzyj” („Odrodzenie” nr 42 (99) z dn. 20. X. 1946) Wojciech Natanson porusza sprawę techniki i języka teatru nowoczesnego. Tezę jego można, zdaje się, ująć następująco: — Nowoczesny teatr cechuje precyzja, tzn. zwięzłość, oszczędność i celowość; zarówno w wyborze i wyzyskaniu sytuacji, w budowie akcji, jak też w dialogu. Argumentami mają być: nowy przekład Szekspira w porównaniu do dawniejszych, tendencje francuskiej „szkoły milczenia” oraz Camusa i Anouilha, Szaniawski i pisarze pozostający pod jego wpływem.

Jeżeli zdaniem specjalistów przekład „Otella” Zofii Szwieckiej jest dokładniejszy od przekładów jej poprzedników i dlatego oddaje wiernie także te momenty, w których Szekspir jest zwięzły, jest to jedynie zaletą indywidualną tłumaczki i niestety nie można tego samego powiedzieć o innych współczesnych tłumaczach Szekspira. Szekspir jest w ogóle autorem, który przyciąga ludzi wszystkich temperamentów i wszystkich struktur myślowych, ale mało ma takich entuzjastów, którzy potrafią jego język i technikę przyjąć bez zastrzeżeń. Każdy też tłumacz — świadomie czy nieświadomie — dokonuje wyboru i w przekładzie interpretuje Szekspira zgodnie ze swoim smakiem i temperamentem.

W 1938 r. przełożył „Otella” na język francuski Jan Sarment, sam aktor i bardzo miły autor dramaty. Przekład jego zyskał uznanie krytyki właśnie jako nowoczesny i — jako przeprowadzający trafny wybór w tej dżungli, jaką jest tekst Szekspira. A oto próbka tego „Otella 38”. Otello nam trupem Desdemona mówi u Szekspira: „cold, cold, my girl, even like thy chastity”. Sarment przekłada: „Froide, froide, ma petite fille!... tu ressembles à ta pureté” — i to jest bardzo ładne i zupełnie trafne, tym bardziej, jeżeli się pomyśli, że przed nim tłumaczono przeważnie „my girl” jako „douce victime”. Cóż, kiedy w tym

samym monologu Otello mówi: „Oh! Desdemona! Desdemona! dead! dead!”, a Sarment tłumaczy: „Desdémone! Desdémone! mon enfant mort!”, zaś „this look of thine” jako „ta forme de petite morte”. Dlaczego? Bo wizja drobnej, dziecinnej Desdemony w tej tragicznej sytuacji odpowiada Sarmentowi, który ma czule serce i jest sentymentalny. Jego „Otello” jest „Otellem” wedle jego temperamentu i smaku, wcale nie zwięzłym pomimo opuszczeń i, jak widać z przykładu (mogłabym ich przytoczyć więcej), wcale nie precyzyjnym ani jako przekład, ani jako efekt sceniczny. Można oczekiwać, że inne nowe przekłady Szekspira będą zawsze tylko indywidualnymi interpretacjami tego autora.

Drugi argument Natansona, „szkoła milczenia”, nasuwa refleksje innego rodzaju. „Szkoła milczenia” to oczywiście J. J. Bernard, najszybszy i najszybszy z nowoczesnych autorów francuskiego teatru psychologicznego. Zapewne też Nivoix, Bouvelet, Bradby i paru innych o mniej charakterystycznej technice.

Rzeczywiście trudno o bardziej skąpy w słowa dialog niż dialog J. J. Bernarda. Ale czy przy swojej oszczędności jest precyzyjny? Bynajmniej, i nie leży to w jego intencji. Jego bohaterowie mówią mało, bo nie mają nic do powiedzenia, mówią nie tylko mało, mówią źle, niezgrabnie, niecelowo, mówią o zupełnie innych rzeczach niżby zamierzali, a to dlatego, że nie mogą się zorientować we własnych przeżyciach, nie mają słów ani nawet pojęć, do których by mogli sprowadzić młotające nimi uczucia. Jako typową dla tej techniki należało by przytoczyć nie sztukę, w której „dwójka ludzi kochających się nie tylko nie wyjawia sobie miłości, ale się nawet nie spotyka”, a więc „L'âme en peine” (Dusza pokutująca) Bernarda, bo jest to sztuka o posmaczku mistycznym, i zresztą sztuka, w której mówi się, jak na niego, bardzo dużo i dużo jest rozumowej analizy psychologicznej — raczej słynnego „Martina” albo „Siostry Guerdonec”, w któ-

rych bohaterki do końca nie potrafią wypowiedzieć tego, co czują. Dwie stare panny, za zapłatą przyjęły kilkoro dzieci na wakacje i po ich odejściu oczekują ulgi i odpoczynku po hałasie i psotach tej niesfornej gromadki — a odczuwają pustkę i tęsknotę, z którymi nie umieją sobie dać rady. Młoda dziewczyna wiejska, z którą kilka razy porozmawiał panicz ze dworu, czuje, że w jakiś sposób wyrządził jej krzywdę, odebrał jej chęć do życia, ale to nie są rzeczy, które by można było wypowiedzieć.

Zatem: oszczędność słów nie jest jeszcze zwięzłością i nie jest po prostu współmierna z precyzją. Inna rzecz, że wielką sztuką jest osiągnięcie potrzebnych efektów scenicznych przez dialog chaotyczny i niewłaściwe słowa, ale zdaje się, że Natansonowi nie o to chodziło, jak wynika z przykładu Camusa, którego sztuki niestety nie znam.

Literatura francuska wieku XX ma wielu pisarzy, którzy celowali w wypowiedziach do przesady krótkich. Każde słowo nabierało tam swojego pełnego znaczenia, było precyzyjne, matematycznie wymierzone. Taką jest proza Juliusza Renarda, np. w jego słynnym „Poil de Carotte”.

Oto dla przykładu kilka groteskowych łamigłówek z jego „Historyj naturalnych” (każda z nich zajmuje osobną stronę w książce i stanowi dla siebie całość, tzn. kompletny portret danego zwierzęcia):

— Osioł: wyrośnięty królik.
— Wąż: za długi.

— Świnia: jak ci pościela, tak się wypisza, a niechlujność jest jedynie twoją drugą naturą.

Taka jest poezja Touleta. Oto dla przykładu dzieło miłości i jej filozofia, zawarte w dwóch lirycznych wierszach:

— Quoi, c'est vrai, tu m'aimes, qui de moi fus aimée?
Amour, divine flamme; amour, triste fumée...

A oto to samo w formie epickiej.
— J'ai connu dans Séville un enfant
brune et tendre.
Nous n'eumes aucun mal, hélas! à nous entendre.

Albo inne opowiadanko, któremu jednak można już zarzucić, że jest przydługie:

— Deux vrais amis valent au Monomotapa
jusqu'au jour où l'un vint voir l'autre,
et le tapu.

Można przytoczyć kilka innych przykładów, np. precyzyjne, a pozabawione nawet stylizacji w kierunku precyzyjności powieści Małgorzaty Audoux, jednakowoż to wszystko będą pisarze sprzed pierwszej wojny światowej. I można sobie zadać pytanie, czy tego rodzaju zwięzłość w ogóle nadawałaby się do teatru, który poza rzadkimi wyjątkami, pomimo postulatów oszczędności, nie może nigdy zejść do schematu.

Co się tyczy budowy akcji, to znając dobrze francuski teatr dawniejszy i obecny, i niektóre inne, pozwalam sobie wątpić, czy rzeczywiście dzisiejsze sztuki są bardziej precyzyjne, bardziej celowo zbudowane niż dawniejsze. Każda dobra sztuka sceniczna musi mieć żelazny łożysko. Matematycznie ściśle są niektóre sztuki Pirandella („Così è...”, „La raggione degli altri”), niektóre sztuki Priestleya. Jednakowoż przytoczony przez Natansona przykład „Pałazera bez bagażu” nasuwa raczej zastrzeżenia. Dowiadujemy się, że „autor sam porównuje akcję sztuki do matematycznie dokładnego policyjnego śledztwa”. Otóż wolno autorowi mieć złudzenia. Anouilh jest niezwykle talentowanym i wiele obiecującym autorem, ale grzeszy właśnie niedopatrznościami w budowie, przeładownością szczegółów i niedostateczną ich koordynacją. I tak np. bohater omawianej sztuki idzie na wojnę mając lat 18 — a od trzech lat jest kochankiem swojej bratowej. To ostatecznie może się zdarzyć, ale z akcji zdawałoby się wynikać, że Teresa jest od niego młodszą — a co dziwniej ze, ma do niego pretensje, że się z nią nie ożenił, gdy ją poznał jako pannę. Co więcej, dowiadujemy się, że bezpośrednio przed wojną Jakub-Gaston pokłócił się z matką, która była przeciwna jego małżeństwu z ubogą

dziewczyną („une petite couturière”). Węc jak wtedy było z Teresą? A przy tym młodzieniec, który się chce ożenić z ubogą kochanką, nie jest takim stuprocentowym potworem, jakim ma być młody bohater. Itd., itd.

Zbierając dotychczasowe wywody stwierdzić można, że Natanson nie dowiódł swoim przykładami, jakoby nowoczesny dramat dążył do precyzyjności przez zwięzłość i oszczędność środków. Raczej wydaje się, że cechy krótkości, oszczędności słowa świadczą o czymś innym. Mianowicie o tym, że dziś w teatrze — i nie tylko w teatrze — patos jest zdyskredytowany. Autor XX wieku wie, że wszystko można powiedzieć krótko i po prostu, i że właśnie proste słowa są najbardziej celowe i najbardziej wzruszające, najbardziej dynamiczne. Jako przykład mogą posłużyć w dziedzinie liryki — w tej dziedzinie, która najbardziej jest otwarta dla patosu — wiersze miłosne Tuwima, np.:

Już mi jest wszystko jedno,
czy powiesz nie czy tak...
Jeno mi ciebie bardzo brak,
Jeno mi ciebie strasznie brak!
Żal gnębi duszę mą biedną...

Albo partie intymne z „Kończyków Izoldy” Gałczyńskiego:

— Ręko, jak
miękką sen —
oczy jak...
czy ja wiem?
wiadomo — oczy.

Wszystko jest zawarte w tych słowach. Nie trzeba niczego precyzować i niczego rozwijać.

Podobnie rzecz się ma w teatrze, a przykładem może być właśnie Szaniawski. Zresztą z chwilą, gdy język potoczny, mówiony wdali się na scenę, patos musiał zniknąć. Język potoczny jest bardzo mało precyzyjny, nie jest nawet szczególnie zwięzły, ale jest dyskretny i broni się przed patosem: chętnie ironia, częściej przemilczaniem.

Czy więc nie o tego rodzaju dynamikę nowego teatru idzie Wojciechowi Natansonowi?

Lidia Łopatyńska

JANINA PRĘGERÓWNA

WIERSZY OBOZOWE

Obok prozy, opartej na autentycznym przeżyciu — i wyjściu z życiem z obozów niemieckich — ukazały się również poezje, w tych samych warunkach powstałe. Ta trudna lektura przynosi z sobą inne zagadnienia niż te, z którymi dotychczas spotykaliśmy się w literaturze. Głównym kryterium staje się tu sprawa dorodności wyrazu do przeżytej rzeczywistości. Wobec wielu tego rodzaju utworów, publikowanych w prasie wcześniejszej — znajdował się krytyk w ciężkiej sytuacji. Wstyd jakoś mówić o słabych wierszach lub prozie ludzi, których siła charakteru, których prawda życiowa stała ponad jakimkolwiek porównaniem ze sztuką, dobra czy zła.

W tym jednak wypadku nie jesteśmy w trudnym położeniu. Tomiki Hołuja i Timofiejewa,*) zresztą bardzo do siebie niepodobne, zawierają parę liryków, które należą naprawdę do poezji, są nie tylko dokumentem.

Temat, podział, kierunek uczuciowy obu zbiorów podobny, ale podobieństwo to li tylko zewnętrzne. Dzieli się one na trzy chronologiczne grupy utworów: wiersze z czasu przed uwięzieniem, z czasu uwięzienia i po uwolnieniu. Wyróżniającą się grupę stanowi wśród nich część środkowa, a wspólny ich kierunek uczuciowy, to tęsknota ocalałego jakimś cudem wśród „czasu nieludzkiego” człowieka. Wspólne jest oczywiście także тіо.

Niewyszukany tytuł nosi tom Hołuja. Nie chce nic obiecywać. Może za to więcej spełnia. Najcharakterystyczniejszą jego cechą i najwybitniejszą wartością jest ton buntu. Jakim sposobem ta postawa była możliwa w warunkach obozowych, nie łatwo jest sobie przedstawić, ale leżące przed nami wiersze są jej świadectwem. Bez śladu nieodpowiedzialnej retoryki w tym buncie (mówię o najlepszych i zarazem najcharakterystyczniejszych dla tomu), w gołym werymie — zawierają przecież siłę i groźbę, są przeciwieństwem myśli o-poddaniu się. Dają świadectwo sily ducha, która jest godna nazwy nieśmiertelnej. W jej imię grożą, bo czymże innym niż siłą duchową, potężną siłą przekleństwa, rzucanego temu, co jest, mógł być więzień silniejszy od przemocy?

Nie uwolni cię żaden bóg
Trwać — to znaczy walczyć bez niego
Sprawa męska — być sobą tu...

Zdobycie się na siłę życia duchowego w tych okolicznościach to rzecz wyjątkowego męstwa. Nie koniecznością słabości, która nie ma innego wyboru, lecz dowodem mocy było w obozie likwidacji przeciwstawienie niezłamanego ducha — wszelakiemu gwałtowi.

Wiersze Hołuja są mocne. Okropność, która jest ich tematem, przychodzi w nich do głosu swoją własną reakcją: rzutem wściekłości, ukąszeniem kopanego. Na tych, którzy go mają za psa — rzuca się i kąsa. To jest zdrowe i moralne — zdrowsze niż zgnyli, upadający żal — tam, gdzie nikt nie płacze. I poezja ta nie wpada w tak bliskie niebezpieczeństwo retoryki (powtarzam zastrzeżenie, że mówię tu o najlepszych utworach, określających poziom tomu), lecz wypowiada się bezpośrednią dynamiką uczucia. Uczucia, nie sentymentu

Treść tomu nielicznych wierszy jest bogata. Stosunkowo „niebogata” forma doskonale spełnia swoje zadanie: nie odwraca na siebie uwagi od treści. To właśnie świadczy, że to prawdziwa poezja. Najlepsza droga w tym wypadku, to droga bez szukania, bez zbyt wyłączonego skupiania wysiłku — i co za tym idzie — uwagi czytelnika na poszukiwaniach formalnych. Przy tym, jak każda szczerza, a nie mówiona sobie czy innym poezja, jak każda sumienna sprawa przekazywania ważnej treści uczuciowej — nie ma nic wspólnego z bałansem, oklepanką na stara czy nowa modę.

Główny motyw treści uczuciowej to niepoddanie się ducha — przemocy

Ręką broń, stalowe wiośło
sercem męskim na próżno skarga,
mocny będzie — nie czekał — rosnął.
Lata, lata. Niech będzie walka.

To tematyka — najmocniejszej — części drugiej. (Część pierwsza, jeszcze dość bezkierunkowa co do treści i wyrazu — jest relacją poszukiwań z okresu kłeski wrześnieowej i konspiracji: tych kilka wierszy, które moż-



Grzegorz Timofiejew

na uważać za część trzecią — odzyskanie wolności i powrót — to z jednym wyjątkiem retoryczne manifesty w szablonie nowej formy poetyckiej).

Co do „realizacji” tego motywu w wyrazie poetyckim, to charakteryzuje ją weryzm w połączeniu z nie nadużywanym patosem elementarnych uczuć: smutku, tęsknoty, chęci walki, nienawiści i radości. Wszystko to wyrażone słowami „gołymi”, surowymi (które często są nawet powtarzają). Ta forma posiada niezbędną szorstkość i ostrość, chromatyczność, która dobrze „wyraża temat”. W najlepszych wierszach, jak powiedzieliśmy, najmniej jest ona „zauważalna”. W pozostałych oscyluje między tradycyjną zwrotką i budową zdania a skrótem skojarzania i nowoczesną metaforycznością.

To zresztą udaje się Hołujowi najmniej. Najlepsze są poezje o nieskrępowanym regularnością zwrotki czy budowy zdania frazowaniu i jednocześnie „tradycyjnym” sposobie komunikowania treści czytelnikowi. Mają one wiele siły, a niektóre subtelności poetyckiej. Typ ich: połączenie uczucia („To, co różni od zwierzęcia — tęsknota”, jak to powiada w pewnym miejscu — może być wykładnikiem tomu) z pewną brutalnością i wulgarnością „silnego wrażenia” — ten typ jest pokrewny Villonowi („Ballade de pendus”) i Wyspiańskiemu. Oczywiście — w najlepszych wierszach. A w tomiku jest k • a dobrych. (A to już dużo, gdyż w tej dziedzinie nigdy jakoś nie chodzi z ilością w parze).

Te więc najpiękniejsze i najprostsze — to: „Jak się nazywa ten ptak”, „Taka piosenka” („Towarzyszom obozu Rosjanom”), „Dzieciatko”, „Kraj-obraz”, „Piosenka dla córeczki”, „Wiem, zdechnąć mogę” i parę sąsiednich ze środkowej części.

Piękno, które z nich do nas przemawia. Kryje się prócz wymienionej, wszędzie obecnej postawy, jeszcze w dwu rzeczach. Jedna, to pewien jak gdyby charakter zbiorowości, wyrażający się w tej poezji. Wiersze te są jak gdyby pisane przez towarzysza o towarzyszach — i często na nich, czy z nimi. Poeta niby wyraża to, czego oni nie umieli, a co było im wspólne. Ta właśnie nieugiętość i niepoddanie się, oczekiwanie — przemawiają jakimś tonem wspólnoty. Najwymowniej dochodzi ona do głosu właśnie w tak głęboko indywidualnym wierszu, jak „Towarzyszom broni Rosjanom”:

Już w beznadziejnej, krwawej pustce
żywych szkielety się nie żala,
samotnie gina, szat ich ustał,
zdychają sobie tu, zdychają.
Z głębi otchłani, z dna rozpacz,
w bezsilu i niemocy naszej
śpiewam piosenkę o granicy,
idącej ku nas w map chichocze
i będzie śpiewał, póki strzyżek
nie zdusi mnie przy tej robocie
szczyżenia z potęg.

Druga rzecz — to urok młodości, która mimo wszystko tu żyła. Ona to tak przejmująca jest w wyciągnię-

ciu ręk do przyrody — za drutami obozu. Szczególny charakter tej tęskniącej młodości — w towarzysztwie śmierci pogardzanej i znanej lepiej od niedługiego życia — odsłania jedną z smutnych tajemnic psychologii obozowej:

„Na brzoście śpiewa — jak się nazywa ten ptak —
zapomniałem imion żyjących”

Tom Hołuja dorasta warunków i zadania.

Inny jest zupełnie charakter i ton przeżyć Timofiejewa. I one wprowadzają wyróżniając się korzystnie wśród pozostałej literatury obozowej: jest w nich obecny ludzki pierwiastek nie zabity mimo wszystko — w psychice człowieka dręczonego, jednak mimo licznych apostrof i o wiele obfitszej retoryki nie mają w sobie twardości bojowej, która cechuje poprzednio omówiony tomik. Timofiejew ukazuje nam raczej nieszczęście człowieka. A i to jest nowe, gdyż w dotychczasowych relacjach o dziejach nieludzkich sprawy życia psychicznego w jakis okrutny sposób kurczyły się do minimum, tak że poza ofiarą istotnie nie dostrzegaliśmy już nieszczęśliwego człowieka. Tę stronę przeżycia odsłania pełen smutku, ciszy i refleksji tom Timofiejewa. W wyrazie przeciętniejszy, przypomina pewne tradycyjne szablon. To skamandryckie łatwizny rymowania bez troski o wybór, to klasycyzujące cizze Staffa. Zmęczenie jest cechą dominującą tego tomu — i bardzo zrozumiałą. Pisał człowiek wyczerpany psychicznie rzeczami niepojętymi. W części drugiej zbioru (podział ten

sam, co poprzednio), lepszej od części pierwszej, przeważa charakter opisowy. Mamy tu znacznie więcej epiki — w dalszych partiach manifestu — niż u Hołuja, gdzie jednak przeważał czystszy charakter liryczny.

Również poezje Timofiejewa dają w owych opisach wiele prawdy ludzkiej, ale ich prymitywizująca szablonowość zwrotkowa, syntaktyczna, (próby „unowocześnień” składni rzadkie i nie bardzo zręczne — jak gdyby dziwią się same sobie, skąd się wzięły w wierszu) i leksykalna — obniża wielce ich działanie na odbiorcę czytelnika. Istniejące przykłady znanych w literaturze z czasów przedwojennych nazwisk nic tu nie pomogą. Istnieje w ogóle w „każdorazowej” literaturze wojennej, czy to poezji, czy prozie, pewna skłonność do uproszczenia formy, popularnego sentymentu (z ewentualnym humorem) i szablonu typów (szeregowiec, kapral, kapelan, oficer-inteligent jako narrator czy pamiętnikarz). Jest ona przyjmowana przez społeczeństwo, czytające początkowo chętnie, jako pewna „nowinka”, coś świeżego, „prosto” z natury, ale rychło się dostrzeżę, że to takie świeże nie jest... Tak i z poezją legionową, wojenną itp. — stawiającą na intencjonalny niby prymitywizm i sentyment. Przyjmowana bezkrytycznie w pewnym momencie historycznym, w pewnych szczególnych okolicznościach — rychło poza nimi traci wartość. To są niebezpieczeństwa tego stylu literackiego, do którego zbliża się maniera Timofiejewa w wierszach obozowych. Obok drugiego niebezpieczeństwa: patriotycznego lub społecznego patosu czysto retorycznego. Te dwa rodzaje sobie towarzyszą.

Timofiejew odnajduje właściwie sobie poezję dopiero po opuszczeniu obozu. W jego tomie część trzecia jest najlepsza. Tu może dać

ujście swojemu talentowi bardziej plastycznemu, który potrzebuje tworzywa materialnych, zmysłowych przeżyć świata, aby znaleźć w sobie poezję. Jest to „temperament klasyczny”, którego liryzm wywiązuje się dopiero w zmysłowym zetknięciu z przedmiotową rzeczywistością. I wtedy daje rzeczy piękne. Pozbawiony jej — jest jak ryba na piasku, daje poezję czysto werbalną, bez wewnętrznego dynamizmu uczucia, (który jest właściwy „temperamentom bardziej romantycznym”, lubiącym tworzyć „z niczego” — jak np. Słowacki wysnuwał swoje bajki...)

Bardzo żywy niegdyś stosunek Timofiejewa do przyrody, jego piękne stapianie się z nią — nie jest może dzisiaj tak żywiołowe i poddawcze, jak w o wiele świeższych poezjach przedwojennych. Wyraziło się to również w zmianie formy, która przedtem była bardziej plastyczna i łatwiej poddawała się rytmowi biologicznego współżycia poety z przyrodą, a obecnie utrzymała się w spokojnej formie zamkniętych i ustalonych strof. Pozbawiona może tego czarującego momentu płynności, zdolności przepływania od treści wewnętrznej do zewnętrznej w tym stopniu, jak to było w wierszach młodzieńczych — przynosi przecież poezja Timofiejewa wiele piękna. Poczucie wspólności „ja” i „nie ja” pozostaje w niej nadal dominującą cechą. Najpiękniejsze są w tym rodzaju „Powrót z pastwiska” i „Studnia”, ale zresztą nie one jedyne.

Dwa tomy poezji obozowej, oba posiadające wartość literacką, odsłaniają dwa różne sposoby reakcji, dwa sposoby przeżycia „próby piekielnej” przez ludzi par excellence, którzy obaw w tym przeżyciu nie zatracili swojej ludzkości. Tylko każdy z nich co innego zachował i czym innym żył...

Janina Pręgerówna

Cztery powieści dla dzieci

M. Buyno-Arctowa. Wieś Szczęśliwa. Ilustracje Wandy Romeykówny. Wrocław, M. Arct, 1946; str. 172 i 4 nl. — **Irena Szczepańska.** Hamia Mulatka. Opowieść dla dzieci. Ilustracje Janiny Małkowskiej. Kraków, St. Kamiński, 1946; str. 72. — **Janina Broniewska.** Siostrzenica ciotki Agaty. Ilustracje Jerzego Zaruby. (Kraków), „Czytelnik”, 1946; str. 107 i 1 nl. — **Biblioteczka Młodego Czytelnika.** Przekłady z literatury obcych. Tom I. Arkady Gajdar. Timur i jego drużyna. Przekład Heleny Jarmolińskiej. (Kraków), „Czytelnik”, 1946; str. 89 i 3 nl.

O ZŁEJ WIOSCE

„Wieś Szczęśliwa” jest wznowieniem jednej z czterdziestu wydanych przed wojną powieści M. Buyno-Arctowej. Fakt, że wydano obecnie tę właśnie pozycję oraz „Słoneczko” a nie np. „Perły księżniczki Mai” lub „Rycerza złotego serduszka”, świadczą o zupełnym przeżyciu się tych pełnych przeczuć i egzaltacji, fantastycznych opowieści. „Wieś Szczęśliwa” odtwarza życie wiejskie w zasięgu wpływu niepopularnej początkowo szkoły powszechnej. Wydawałoby się, że można tu mówić o pokrewieństwach tematycznych z „Wesołą gromadą”, są one jednak powierzchowne, bowiem dla autorki „Wsi Szczęśliwej” problemy życia gromadnego nie są tak ważne, jak wyidealizowane i w gruncie oderwane od życia przemiany duchowe małych bohaterów. Główną rolę w opowieści gra, znana już czytelnikom z książek M. Buyno-Arctowej, Fifinka, która jako młodzieńca nauczycielka przybywa do wsi Szczęśliwej, zamieszkałej przez niedobrych ludzi i złośliwe dzieci. Fifinka, uosobienie anioła, szybko wchodzi w porozumienie z drugą zamieszkałą wsi idealną istotą — małą znajdą Krysią, po czym obie swym szlachetnym wpływem nawracają najbardziej zatwardziały wrogów z demonicznym Petrkem na czele i wieś staje się naprawdę „Szczęśliwą”.

Motyw uszlachetniania i „nawracania” od dawna uprzywilejowany w twórczości dla dzieci — żeby wspomnieć chociaż „Małego lorda”, „Pollyanne”, „Z pamiętnika Ninki i Danusi” — znalazł w twórczości Buyno-Arctowej swój najbardziej kraciowy wyraz. „Wilczyśko”, „Sło-

neczko”, „Kazia Duża”, „Wieś Szczęśliwa” — to tylko inne wersje tego samego motywu. Wsublimowana szlachetność, przesłodzony w swej doskonałości ideał i wyidealizowana podłość lub przynajmniej lodowata obojętność, która okazuje się łatwą do skruszenia skorupą. Mimo, że w takim obrazie świata kryje się idealistyczna wiara w ludzką dobroć, należałoby się zastanowić, czy środki, za pomocą których autorka przeprowadza swą tezę, są pedagogiczne. Wiadomą jest rzeczą, że obraz zła posiada silniejszą wymowę niż wyidealizowana szlachetność, i że nie było jakim autorem zdarzało się wywołać niezamierzoną sympatię dla „czarnego charakteru” a obojętność wobec postaci dodatniej. Jeśli nawet — jak w stosunku do Petrka z „Wsi Szczęśliwej” — trudno mówić o sympatii, pozostaje jeszcze sprawa sugestii, wywołanej przejaśkrawionym wizerunkiem zdeprawowanego chłopca, sugestii, która działa w podświadomości młodociane go czytelnika. Co prawda, czarownice i dobre wróżki uważamy za naturalne w baśni, tam jednak wpływ poszczególnych postaci na psychikę dziecka jest niewielki, gdyż są one zbyt mało indywidualizowane i wplecione w nieprawdopodobne sytuacje. W opowieści realistycznej dziecko na każdym kroku spotyka przykłady analogiczne do życiowych, dlatego moment naśladownictwa gra wielką rolę. „Wieś Szczęśliwa” zawiera zresztą wiele momentów baśniowych wplecionych w akcję; takie pomieszczenie wątków odrealnia rzeczywistość, nie przenosząc jej na płaszczyznę fantastyczną, co osłabia wymowę tendencji moralnej; np. nawrócenie Petrka — następuje ono nie tyle pod wpływem czynnej dobroci dziewczynki, ile wskutek odczytania „złego czaru” mocą opowiadanej bajki.

Drugim momentem pedagogicznym wątpliwym jest nadmiar sensacji i silnych emocji. Motyw podrzuconego dziecka wygrywany od dziesiątek lat w powieściach dla dzieci („Gwiazda przewodnia”, „Płomień na śniegu”) i przez samą M. Buyno-Arctową powtarzany („Serce i serduszka”), motyw, któremu towarzyszą przeważnie rozdzierające obrazy matek zamartwiających na śniegu, melodramatyczne momenty przedstawiające ne-

dę i poniewierkę biednego dziecka, w zakończeniu ukoronowane nieuniknionym „happy endem” — należałoby wręczyć odłożyć do lamusa, jako podniecające w sposób niezdrowy ciekawość czytelnika. Tutaj ponadto motyw ten posiada — niezamierzony prawdopodobnie przez autorkę, nieprzyjemny akcent społeczny — bowiem jedyne z natury szlachetne dziecko we wsi Szczęśliwej okazuje się dziewczynką z tzw. „leszej sfery”, widocznie więc swemu pochodzeniu zawdzięcza subtelność uczuć... Dobre intencje autorki nie ulegają wątpliwości, nie wystarcza to jednak, by tę opowieść, napisaną ładnie i żywo, którą młodzi czytelnicy czytają na pewno z zapartym tchem, można przyjąć bez zastrzeżeń natury pedagogicznej.

O SŁONECZNEJ OCHRONIE

Na tej samej wierze w szlachetność ludzkiej natury opiera się książeczka Ireny Szczepańskiej. Jest to opowieść o małej Mulatce, której w Niemczech zamordowano ojca Murzyna, a której matka umarła po powrocie do Polski. Sierotka o „twarzyczce jak zwiędły liść” zostaje sama w wielkim zbiorowisku białych ludzi. Mała Hania jest dzieckiem zahukanym, nieszczęśliwym, szarpającym przez dojmujące poczucie niższości z racji swego pochodzenia i wyglądu. Autorka, prowadząc małego czytelnika wraz z Hanią Mulatką do ochrony w Jeleśni ukazuje dobrych ludzi i wesołe dzieci, wśród których dziewczynka wyzbywa się kompleksu niższości, odzyskuje wiarę w siebie i uczy się społecznie. Tutaj nikt jej nie wyśmiewa, nie uważa za dziwadełko, którym się można jak lalką zabawić, przeciwnie, wszyscy wyróżniają dziewczynkę za jej dobroć i schludność — mimo jej czarnej skóry.

By ustrzec się przesłodzenia, płynącego z tej ogólnej dobroci, autorka wprowadza w akcję zabawną historię o duchu pana Męczyworu, męża fundatora zakładu, który „straszny” po nocach, tęskniąc do swej małżonki, bowiem — jako ważniejszą osobę — wycięto ją ze wspólnego portretu i oprawiono w ramki. Jest tutaj także i „czarny charakter” — rudy Kacper, podobny do Petrka wy-

*) Grzegorz Timofiejew. Wysoki płomień. (Łódź), „Książka”, 1946; str. 83 i 6 nl. — Tadeusz Hołuj. Wiersze z obozu. (Łódź), „Książka”, 1946; str. 69 i 3 nl.

dził wszystko i wszystkich, gdyż nikt nie obdarzył go dobrym słowem, a w zakończeniu wstępuje oczywiście na dobrą drogę.

W porównaniu z przedwojennymi pracami autorki „Hania Mulatka” jest niewątpliwie krokiem naprzód choćby z racji swego akcentu społecznego. Środowisko sierot, znajdujących opiekę już nie u znajomej z powieści M. Buyno „Dobrej Pani” z nieprawdziwego zdarzenia, lecz wśród ludzi, którzy uczą pracy i wychowują w poszanowaniu wartości człowieka niezależnie od pochodzenia — stwarza atmosferę zdrowia i czystą.

Jak na tło, tak szczęśliwie dobrane, zbyt mało tu mowy i teźny w samym ujęciu tematu, zbyt wiele jeszcze czułościowości i miękkości, od której dzieło instynktownie stroni. Da się to zauważyć nawet w samym stylu nieco zbyt gładkim i literackim. Wolelibyśmy, by Hania nie wołała o swym szczęściu „w pustkę wyzwalającą się nocy jesiennej”, niezbyt także przekonujące jest, że „Rudy Kacper miał nadzieję odnalezienia siebie”, zbyt słodkie wydaje się nam usypianie Hani „z wielką ciszą w skołatanych, różowym sercu”, bowiem w dobie walki z patosem i powściągliwości uczuć radzi byśmy i w literaturze dla dzieci widzieć jak najdalej idącą prostotę. — Mimo tych usterek należy uznać „Hania Mulatkę” za pozycję dodatnią, przesiąkniętą szlachetnym humanitaryzmem. Ilustracje uproszczone, jak rysunki dzieci, nie należą do najszcześniejszych.

O WOJENNYCH WĘDRÓWKACH

„Siostrzeńcy ciotki Agaty” — to opowieść o losach chłopca, który utracił matkę podczas ewakuacji Baranowicz i pod opieką przegodnie poznanej kobiety, energicznej i zaradnej „ciotki Agaty”, udaje się do Rosji, gdzie w okresie, dzielącym go od powrotu do kraju, poznaje życie bratniego narodu i spędza czas na użytecznej pracy. W nowym środowisku otaczają go różni ludzie: pilni pracownicy w kołchozach, weseli robotnicy przy traktorach, a także tacy, którzy zapałeni w młot armii Andersa uchylają się od wszelkiej pracy i czekają tylko chwili ucieczki — choćby drogą najbardziej okrutną — na Zachód.

Opowieść pisana jest świetnym, barwnym, jedynym, pełnym humoru językiem, typy żywe, charakterystyczne, zdarzenia i sytuacje bliskie realnemu życiu, ale... Dość ważne „ale” da się usprawiedliwić datą powstania utworu. Rok 1943. Pierwsza dywizja im. Tadeusza Kościuszki... Wojsko Polskie walczące z Niemcami... a jednocześnie przyjazne współżycie dwóch narodów słowiańskich, rozłam ideologiczny między Polakami na Wschodzie, nagła śmierć najbliższych i poniewierka na dalekich łąkach i morzach — oto sprawy ważne i palące, które ta mała książeczka oddaje na gorąco, w ogniu walki, z wewnętrzną pasją. Ani jeden z krwawych momentów wojny nie ułożył się jeszcze w świadomości autorki w momencie, gdy pisała tę książkę — i w tej samej, chaotycznej, nieprzeżytej formie dostaje się na jej karty. To, co powinno być spokojnym, kontrolowanym pedagogicznie opisem, jest szeregiem reportażyowych migawek, nieraz o jaskrawym posmaku; to, co powinno być opanowane we wszystkich przejawach, wyraża się w tendencji zupełnie jeszcze surowej, zniekształcającej rzeczywistość.

W tej niezobiektywizowanej atmosferze żywe plamy stanowią świetnie podmalowane typy, jak ciotka Agata, Paculanki itd., nie staną się one jednak mitami wieku dziecięcego, do których chętnie się powraca, gdyż tego rodzaju opowieści o wojnie

nie będące ani dokumentem, ani literaturą piękną, skazane są na krótkie życie i dotyczy to nie tylko pozycji młodzieżowych. W czasie działań wojennych wzruszałyby niewątpliwie — jak wiele innych książek tego typu — swym szlachetnym patosem, sugestywnością scen zaczerpniętych wprost z życia. Dziś patos opada, pragnęlibyśmy opanować przeżyty rzeczywistość z pełną spokojem i umiarem rezerwą, i tym bardziej w tej formie przekazywać ją dzieciom... Taki jest duch czasu, który ogarnia swym prądem nie tylko tę jedną, bez zarzutu pod względem literackim opracowaną książeczkę.

O DRUŻYNIE W SŁUŻBIE CZERWONEJ ARMII

Serię „Przekładów z literatur obcych” zainicjowaną przez „Czytelnik” należy powitać z radością. Naszej literaturze dla dzieci brak jeszcze właściwego kierunku, brak zespolenia metod dydaktycznych z artystycznym, brak pozycji wartościowych i poważnych, które mogłyby się stać podstawą nowego księgozbioru. Kontakt z innymi krajami da nam możliwość poznania ich dorobku w tej dziedzinie, a dzieciom ukaże kolegów z całego świata, odrębność, a zarazem wspólnotę ich sposobu życia i myślenia. „Timur i jego drużyna”, książka dla starszych dzieci, zwłaszcza chłopców, wydana jako pierwszy tom działu przekładów, jest pozycją bardzo interesującą. Jest to opowieść o grupie dzielnych chłopców, którzy samorzutnie zakładają drużynę społecznej pomocy dla rodzin opuszczonych przez czerwonoarmistów w czynnej służbie. Organizacja chłopców, posiadająca wszelkie cechy zabawy w wojsko — punkt zborny na strychu, telefon, urządzenia sygnalizacyjne, wódz otoczony nimbem tajemniczości — opiera się

jednak na założeniach prawdziwie społecznych i humanitarnych — opiekuje się bowiem z zapałem wszystkimi, których słabość i samotność mogłoby wykorzystać szkodnicy lub złodzieje. Timur i jego drużyna napędzają mleczarce beczkę wodą, gdyż dla niej jest to za ciężka praca, układają starej babce drzewo w sęgi, odnajdują zgubioną kozę-żywicelkę, bronią małą dziewczynkę przed niesprawiedliwą karą i — wysyłają prawdziwe ultimatum do wrogiej drużyny szkodników społecznych. — Wszystkie te szlachetne przysługi należą do kategorii harcerskich „dobrych uczynków”, spełnianych bezinteresownie, spontanicznie i z ochotą. Te dobre uczynki działają bezpośrednio swym urokiem, atmosferą nieprzejaskrawionej tajemniczości i rygoru organizacyjnego, która zawsze młodzież bierze. Brak tutaj wszelkiego moralizatorstwa, wyrąbanego dydaktyzmu, nie ma ani jednego momentu, w którym szlachetne idee Timura zostałyby sformułowane w moralne nakazy. Dobro spełniane jest mimochodem, jako naturalne wyzyskanie młodzieży a tym samym zdolne jest porwać i zachęcić do naśladowstwa.

Wydawać by się mogło, że jest to nareszcie pozycja prawdziwie wartościowa, ukazująca nowe drogi, a jednak tak nie jest. Przyczyna leży w trudnej czytelności książki, wydanej starannie i czysto, bez błędów drukarskich, co niestety dzisiaj nieczęsto się zdarza, na pięknym papierze, w świetnym przekładzie. Ta trudna czytelność polega na wewnętrznym skomplikowaniu treści, na skrótach myślowych, na groteskowym nieco ujęciu postaci, słowem, na pewnym zamaskowaniu, które sprawia, że nawet dorosły czytelnik musi wracać wstecz, szukać wyjaśnień, odnajdywać te same postacie w in-

nym układzie. Bezpośredni dydaktyzm został tu zredukowany do minimum, lecz wraz z nim i zrozumiałość utworu. Trzeba by znać bliżej rosyjskie stosunki, by zbadać, czy i dla rosyjskich dzieci książka ta jest trudno zrozumiała. Jeśli tak nie jest, młody czytelnik powinien otrzymać we wstępie jakieś wyjaśnienia, które by go wciągnęły w akcję, a tymczasem musi się dopiero po imionach domyślać, że tu mowa o jego wschodnich sąsiadach, gdyż nawet tej informacji przy nazwisku tłumacza nie podano. Książka wymaga klucza, wyjaśnień, lub rozluźnienia zbyt treściwej kondensacji.

„Timur i jego drużyna” — to książka trudna, trzy poprzednie były łatwe, łatwe w sensie bezpośredniości obrazów, typów, wypowiedzi, łatwe przez jasną tendencję skierowaną wprost do umysłu młodocianego czytelnika, dające mu gotowy materiał do konsumowania. Zwięzłość „Timura” wypływa z usiłowania ukrycia tendencji, tak, by opowiadanie działało podskórnym dynamizmem. Znaleźnieniu właściwej drogi pomiędzy tymi dwoma kierunkami jest jednym z podstawowych zagadnień współczesnej literatury dla dzieci.

Pisarz dla dzieci winien pamiętać, że jest jak gdyby nauczycielem, który przez łatwy, płynny wykład wiadomości, dobrze znanych i przez niego samego przeżytych, zrzuca z siebie poniekąd odpowiedzialność za wykonaną pracę dydaktyczną, zaś jedynie twórczą — a niełatwą rolę może wypełnić przez rozbudzanie umysłów, by mogły przyjąć podsunęty materiał, przemysleć go, przeżyć, intelektualnie i moralnie zasymilować. Jest to droga trudna dlatego właśnie, że wymaga zamaskowania tendencji dydaktycznej przy najwyższej prostocie wyrazu.

Krystyna Kulickowska

Powojenne spotkanie polonistów

W dniach od 31 października do 3 listopada odbył się w Krakowie pierwszy po wojnie uniwersytecki zjazd Kół Polonistycznych. Zjazd ten skupił przedstawicieli ośrodków uniwersyteckich, Krakowa, Łodzi, Warszawy, Wrocławia, Torunia i Lublina. Poloniści wszystkich uniwersytetów polskich wzięli udział w interesujących zebraniach i dyskusjach. Wymiana poglądów na dzisiejszą twórczość literacką, na zadania teatru polskiego i na współczesną rzeczywistość polityczno-społeczną była szczególnie ważna, ponieważ ostatni zjazd tego rodzaju odbył się we Lwowie na kilka lat przed wojną, w 1935 r. Wobec rozległości wymagających omówienia problemów postanowiono, w miejsce wyczerpujących referatów, wprowadzić metodę dyskusyjną, z krótkim zagajeniem każdej dyskusji.

Dnia 31 października po południu otwarto zjazd. Uczestników powitał kurator krakowskiego Koła Polonistów, prof. Stanisław Pigoń, który w przemówieniu podkreślił znaczenie kół naukowych dla pracy samokształceniowej studentów.

Potem zabrał głos Zbigniew Wasilewski, prezes krakowskiego Koła Polonistów. Na wstępie Wasilewski omówił pokrótce dzisiejszą sytuację młodzieży akademickiej, podając sprzeczną ze sobą w tej materii zdania dwu starszych polonistów: pozytywną, Wacława Kubackiego i negatywną, Stefana Żółkiewskiego. — Stwierdził on, że zagadnicznia polityczne pomija się zwykle milczeniem przenosząc ciężar dyskusji na ten temat do domu. A w domu kwitnie „plotka polityczna”. Poloniści chcą te sprawy omówić jasno, razem, wspólnie, mają bowiem ambicję reprezentować polską młodzież akademicką. Zjazd ten ma charakter wybitnie eksperymentalny i być może się nie uda. Ale chodzi tu o co innego: trzeba dojść do porozumienia. Obecna impreza jest inauguracyjna. Poloniści chcieliby jednak spotykać się rok rocznie, aby wspólnie rozważać trudności i problemy, jakie się wyłonią w ciągu roku. Następnie Z. Wasilewski ogłosił reaktywizację Związku Kół Polonistycznych. Zjazdy będą się odbywały odtąd w tym mieście, w którym będzie rezydował z kolei zarząd Związku.

Na tym samym zebraniu Zbigniew Gołab (Wrocław) wygłosił referat „Zagadnienie celów i metod poznawczych humanistyki”.

W ciągu następnych dni wygłoszono wiele referatów na tematy specjalne, ściśle fachowe. A więc Jerzy Starnawski (Lublin): „Młody polonista w szkole średniej”; Andrzej Siudut i Marian Molé (Kraków): „Najnowsze kierunki w językoznawstwie”; mgr Maria Brodowska (Kraków): „Językoznawstwo a stylistyka”; dr Franciszek Ślawski (Kraków): „O pracach studium słowiańskiego w Krakowie”; Maria Janion i Maria Zmigrodzka (Łódź): „Stan współczesnej metodologii nauki o literaturze”.

Najwięcej zainteresowania wzbudziły trzy podstawowe dyskusje zjazdu: „Oblicze współczesnej młodzieży”, „Teatr współczesny, jego osiągnięcia i braki” oraz „Polska literatura powojenna”.

Dyskusję pierwszą, postawioną na wysokim poziomie, zainicjowała Hanna Kulagowska (Łódź). Prelegentka przytoczyła wypowiedzi w tej sprawie czołowych polskich pisarzy i publicystów zarówno z obozu katolickiego („Tygodnik Powszechny”) jak i marksistowskiego („Kuznica”). Następnie skrytykowała ostro postawę dzisiejszej młodzieży polskiej, zarzucając jej antysemityzm, niechęć do równości klas i neutralność polityczną. Jako dowód tragizmu odosobnienia inicjatywy przytoczyła reportaż Franciszka Gila „Kolos proletariatu i pancerz chłopca”. Zarzuciła młodzieży akademickiej brak jasnego światopoglądu, atakując przy tym optymistyczną opinię w sprawie młodzieżowej Wacława Kubackiego. Na zakończenie Kulagowska poddała krytyce zagadnienie polskiego katolicyzmu.

Po zagajeniu Kulagowskiej wywiązała się ożywiona dyskusja. Niektóre wypowiedzi świadczyły o przemysleniu tematu.

Rusiecki (Warszawa) wystąpił przeciwko postulatowi przez prelegentkę dyktanctwu w wszechstronności, wysuwając jako kontrpostulat potrzebę ściślejszej specjalizacji. Zbigniew Gołab (Wrocław) stwierdził, że obecna sytuacja polityczna spada na młodzież „jak obuch”, zaskoczyła ją. Stwierdza, że wśród młodzieży

istnieją dwa obozy: katolicy i marksisci i sprecyzował ich światopoglądy.

Rzeczowa była wypowiedź Stankiewicza (Warszawa), w której dyskutant poruszył zagadnienie niewłaściwego stosunku do AK. Stankiewicz uważa, że większość młodzieży jest postępową i że nie można przyznać marksistom monopolu na postępowość. Za problem najpilniejszy uważa Stankiewicz konieczność zespolenia całej młodzieży. Mikołajtis (Kraków) zarzucił prelegentce pomniejszenie istotnej wartości młodzieży. Jego zdaniem trzeba starać się szukać wspólnej więzi, a nie podkreślać różnice, jakie dzielą oba obozy.

Z. Nowak (Kraków) gorąco bronił młodzieży, odpierając zarzuty prelegentki.

Zamykając dyskusję, J. Woźniakowski (Kraków), który taktownie i umiejętnie przewodniczył trudnemu zebraniu, podkreślił jeszcze raz potrzebę kompromisu i porozumienia.

Była to najciekawsza dyskusja na zjeździe, przeprowadzona na wysokim poziomie. Łódź — wybitnie marksistowska — wystąpiła z wiarą i ofensywnie. Kraków przeciwstawił się jako ośrodek myśli katolickiej, podając rękę do porozumienia. Warszawa podniosła sprawę AK, w innych zagadnieniach solidaryzując się raczej z Krakowem. — Wypowiedzi przedstawicieli innych środowisk broniły postawy katolickiej, jednak nic nowego do dyskusji nie wniosły.

Interesująca była dyskusja teatralna. Na zebraniu to przybyli reżyserzy: Irena Grywińska i Juliusz Osterwa — pisarze: Jerzy Szaniawski i Władysław Bodnicki. Dyskusję zainicjował Leon Pietrzykowski (Kraków), który omówił przystępną współczesną literaturę dramatyczną, uwzględniając wartość sztuki jako produktu, który ma odebrać konsumentowi. Wśród omawianych pozycji znalazły się sztuki: Dąbrowskiej, Zawieyskiego, Flukowskiego, Swinarskiego, Morstina, Świrszczyńskiej, Brezy i Dygata, Iwaszkiewicza, Wirskiego oraz Otwinowskiego, Ważyka i Szaniawskiego. Po omówieniu sztuk prelegent wypowiedział swe zdanie co do obecnej sytuacji teatru. Stwierdził, że aktorów, reżyserów i dekoratorów mamy dobrych. Teatr Rapsodyczny — uważa — operuje zbyt

dużą dozą uczuciowości, co nuży widza. Obecnie daje się zauważyć zwrot do wielkiego repertuaru, np. do Szekspira. Teatr ludowy — jego zdaniem — to teatr dobry.

Dyskusja, która wywiązała się dookoła tego zagajenia, nie stała na wysokim poziomie. Zarzucano prelegentowi, że położył za duży nacisk na omówienie twórczości dramatycznej. Precyzowano rzeczy nieistotne i dla głównych problemów nie mające znaczenia. Mimo to w wypowiedziach tych wyčuwało się tęsknotę za dobrym, wielkim repertuarem.

Na zakończenie zabrał głos dyr. Osterwa, zachęcając młodzież polonistyczną do nawiązania współpracy z teatrem.

Na tym samym zebraniu postanowiono, że w przyszłości przy kołach polonistycznych będzie się organizować zespoły dramatyczne. Dyr. Osterwa przyrzekł najdalej idącą pomoc.

Dyskusję na temat literatury powojennej zainicjował Władysław Bodnicki (Kraków), omawiając współczesną poezję. Przytoczywszy opinie poważniejszych krytyków literackich, Bodnicki dał obraz powojennej twórczości poetyckiej opublikowanej w książkach. Niestety dookoła tego referatu nie wywiązała się żywsza dyskusja, mimo że wśród delegatów było paru młodych poetów i poetek.

Wilhelm Mach (Kraków) zainicjował dyskusję na temat polskiej prozy powojennej. Nie omawiając poszczególnych książek, Mach dał syntetyczny obraz prozy współczesnej. Obszerne to zagajenie, w którym było wiele oryginalnych stwierdzeń na temat nowej prozy, też nie wywołało żywszego zainteresowania.

W. Mach wezwał przybyłych na zebranie pisarzy: K. Wykę, S. Otwinowskiego, W. Żukrowskiego i J. Broszkiewicza, aby zabrali głos.

S. Otwinowski wyraził przypuszczenie, że dyskusja sprawia zebrałym pewną trudność zapewne dlatego, że studenci są dziś w ciężkich warunkach materialnych i nie stać ich na kupno nowo ukazujących się książek. Wzajemne zbliżenie literatów i polonistów usunie tę trudność.

Jako ostatni zabrał głos K. Wyka w sprawie współczesnej poezji. Podzielając stanowisko Otwinowskiego, ma jednak co do przyszłości poezji poważne obawy, wynikłe z jednomyślnej u dyskutujących chęci powrotu do poezji klasycznej.

Obie dyskusje, teatralna i literacka, wykazały, że poloniści nie są dostatecznie przygotowani. Najmniej zainteresowanie budziła dyskusja nad poezją. Czuło się, że zebrani nie mają nic do powiedzenia. Jest to fakt zastanawiający ale nie tragiczny.

Dzisiejsi poloniści — to przeważnie młodzież, która uczyła się podczas wojny na tajnych kompletach. Naukę miała utrudniona, ponieważ, oprócz terroru, był też przymus pracy. Nie mając możliwości pogłębienia swych wiadomości i przemyślenia ich, młodzież ta wstąpiła po wojnie na uniwersytet. Początkowe studia językowe i historia literatury absorbują całkowicie studiujących. Także opłakane warunki materialne, zmuszające do pracy zarobkowej, nie pozwalają mu pilnie śledzić bieżącej literatury. Do tego niepowodzenia przyczynia się i to, że seminaria polonistyczne nie dysponują odpowiednimi środkami finansowymi, które by im umożliwiły zakup książek.

W ramach zjazdu odbył się też międzymiastowy turniej poetycki, w którym poloniści łódzcy wysunęli się na czoło, zajmując wszystkie miejsca.

Pierwszy powojenny zjazd polonistów, mimo pewnych niedociągnięć, udał się. Zbliżył i poznał ze sobą wszystkie ośrodki uniwersyteckie, skonfrontował ich osiągnięcia i braki. Poloniści ocknęli się pierwsi z apatycznego pośnu, w jakim trwają inne uniwersyteckie koła naukowe. Pierwsi okazali gotowość do pracy na polu naukowym i kulturalnym — co wyraża się chociażby w postulatach wysuniętych na zakończenie zjazdu: potrzeba reformy studiów polonistycznych, potrzeba współpracy z teatrem i nawiązania bliższego kontaktu z literatami, konieczność aktywnej postawy wobec rzeczywistości współczesnej. Poza tym wysunięto dezzyderaty w sprawie egzaminów wstępnych na polonistykę, które miałyby eliminować kandydatów niedostatecznie przygotowanych do studiów uniwersyteckich.

Tadeusz Konwicki

WYDAWNICTWO „AWIR” KATOWICE

EDMUND OSMANCZYK
SPRAWY
POLAKÓW

Książka denerwująca, którą każdy przeczytać powinien

ŻAŁAĆ
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

281

KRONIKA ILUSTROWANA

W TEATRACH KRAKOWSKICH

KARYGODNE ZANIEDBANIE



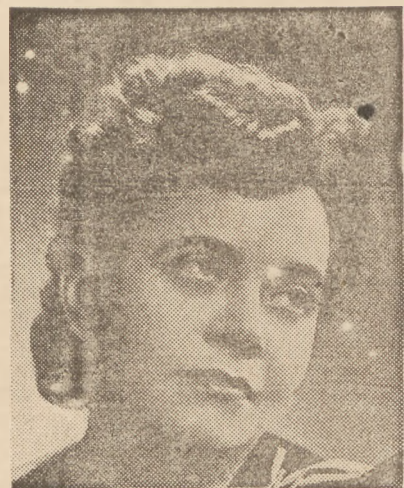
ALEKSANDER ZEJWEROWICZ
obchodził pięćdziesiątą rocznicę
swej pracy sceniczej



ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA
której sztukę „Orfeusz” wystawił Stary
Teatr w Krakowie



ANDRZEJ PANUFNIK
kompozytor i dyrygent, odniósł piękne
sukcesy za granicą



IRENA LEWIŃSKA
uzyskała pierwszą nagrodę za śpiew na
międzynarodowym konkursie muzycz-
nym w Genewie



RAIMU
znakomity aktor francuski, zmarł nie-
dawno w Paryżu

„Miasto w dolinie”. Sztuka w dwóch czę-
ściach J. B. Priestleya, przekład J. Ry-
lskiej. — Teatr Kameralny TUR.

Dziwnym spleciem metafizyki z pro-
pagandą nazwał w poprzednim numerze
„Odrodzenia” M. Promiński artystycznie
wartościowy film angielski „Zjazd na
rozdrożu”. To samo można powiedzieć
i o „Miście w dolinie”.

Utwór jest wybitnie pedagogiczny;
problematyka bardzo bliska, „klimatem”
zaś nieco obcy polskiemu widzowi. Nie
wychowanemu na atmosferze dzieł Well-
sa, Huxleya i Russeila, a z Sławą Łuska-
jącemu tylko „dobre powiedzonka”. To,
co w „Miście w dolinie” ma dreszcze
metafizyki — jest dziełem sztuki. Część
pierwsza utworu, w której wskutek tajem-
niczych wypadków przedstawiciele róż-
nych warstw społecznych znaleźli się w
innym wymiarze, zachowując pamięć rze-
czy przeszłych, daje trafny obraz oraz
inteligentną analizę i ironiczną krytykę
tych przejawów życia współczesnego, ja-
kie powinny należeć do bezpamiętnej
przeszłości. Bohaterowie sztuki stanęli
u bram miasta w dolinie, które wydaje
się być emanacją tęsknot i zbiorowo-
ści. — Ta pierwsza część utworu posiada
nastrojnie niesamowitości i posmak poezji,
jest interesująca dyskusja o silnym ner-
wie dramatycznej. Mimo że akcja roz-
grywa się w psychice bohaterów, ma du-
żo scenicznego.

Część druga nie dostarcza już nam rów-
nie silnych wrażeń artystycznych. Poka-
zana w opowieściach bohaterów wizja o-
wego miasta wzorowo społecznie zorgan-
zowanego, gdzie sprawiedliwość socjalna
i szczęście zbiorowe płynęły z równości
ludzi wolnych, wzajemnego zrozumienia,
uznania i szacunku, a przede wszystkim
z pracy — ma zbyt dużo barw plakatu
propagandowego; dialogi zaś i monologi
żywo przypominają argumentację meetin-
gów i wleńców. Ten drugi akt sztuki, nie
wiążący się już niemal nurtem metafizy-
ki i poetyczności z pierwszym, jest nu-
żący i, co ważniejsze, nie przekonują-
jący. I bez niego tęsknić będziemy za
postępem i lepszym światem; jak go
konkretnie, na codzień realizować —
Priestley nie mówi. A to jest decydujące:
codziennoscie mądrego czynu.

Kulturalna inscenizacja i nadzwyczaj
sumienna reżyseria Emilia Chaberskiego
dała — przy trafnej obsadzie — dobre
w nastroju i dramatyczności (oczywiście,
zwłaszcza część pierwszą) i ciekawe ak-
torsko przedstawienie. Korzystnie pomy-
ślana ilustracja muzyczna Maklakiewicza
brzmiała sympatycznie jako dalekie
i radsze tło; również dekoracja Gajew-
skiego, skrzepowana zresztą szczupłością
sceny, ułatwiała wprawdzie sytuację, ale
była bardziej jaskrawa i ciężka niż „me-
tafizyczna”. Grano sztukę zajmującą,
i „czystą”, przy pomocy prostych środków
wyraza scenicznego, wyraziście przy tym
wypuklając charakterystykę postaci, co
zresztą ułatwia nieskomplikowany tekst
Priestleya. Prawdziwą rozkoszą jest śle-
dzenie jak Maria Dulęba subtelnie i szcze-
gółami, komponującymi się w logicznie
zbudowaną i konsekwentną całość, kre-
li pełną ironii i pobłażania satyrę na próch-
niący snobizm i egoizm matriarchatu.

Maria Gella jest szczerze zabawna w swej
słodkiej jedzowości ptasiego mózdziku;
Jadwiga Korcek sympatycznie mówi bez
barwy, choć wcale ważny tekst roli za-
hukanej, przez trud życia posługaczki;
Hanna Różańska z uśmiegiem gra charak-
terystyczną postać barowej kelnerki, sym-
patyczna w momentach lirycznych zako-
chania, za jaskrawa w scenach patetycz-
nych; Krystyna Ilakowicz ma dużo bez-
pośredności przy pewnej surowości ru-
chów. W rolach męskich wystąpili: Mie-
rzejewski, Zukowski, Janusz Ziejewski,
przekonywający w dosadnie wyrażonych
poglądach proletariusa, mniej szczęśli-
wie apoteozujący „miasto w dolinie”, oraz
Kazimierz Biernacki, plastyczną figurą
kapitałistycznego kombinatora przypomi-
nający się z powodzeniem po wielu la-
tach publiczność.

„Orfeusz”. Sztuka w 3 aktach (9 obrazach)
z prologiem Anny Świrszczyńskiej. — Mie-
ski Stary Teatr.

Z dużą wyrozumiałością i cierpliwością,
ale coraz zmniejszającą się publicz-
ność premierowa do czterech godzin do-
chodząca (przy dużej sprawności technicz-
nej teatru), prezentacja tekstu młodej po-
etki, nie tając równocześnie pełnego uz-
nania dla osiągnięć inscenizatorów. Au-
torka bowiem popełniła podobny błąd, co
w swoim czasie Światopełk Karpiński, któ-
ry doskonale wierszyk satyryczny „Dziś
flagi” rozciągnął do rozmiarów nieudanej
komedii. Poemat Świrszczyńskiej o Orfe-
uszu miał wcale udułać żywot jako nastro-
jowe słuchowisko radiowe; rozrobiony do
wielu obrazów sztuki teatralnej skazany
jest na męczącą vegetację. Na przeróbki
motywów i rozbudowę drobnych utworów
do rozmiarów sztuk teatralnych mogą so-
bie pozwolić Iwaszkiewicz („Lato w No-
hant” było wręcz słuchowiskiem) czy
Szański, ale potrzeba mieć ich do-
rzalą wiedzę o człowieku i jego sprawach
oraz takie majsterstwo sceny jak właśnie
autor „Mostu” czy „Dwóch teatrów”, który
mimo symboliki i metafizyki potrafił zbu-
dować postać z krwi i kości. Bo tylko
takie mogą chodzić po scenie, prowadzić
akcję i po ludzku mówić. Spis osób, przez
których papierośowa usta przepływa stru-
miem słów, nie stworzył dramatu, nie po-
zwolił na znalezienie scenicznego wido-
wiska. I dlatego wysiłek zespołu Sta-
rego Teatru nie jest pełnowartościowym
przedstawieniem teatralnym, ale raczej
plastyczną ilustracją do tekstu Świrsz-
czyńskiej.

Całus „Orfeusza”, niewątpliwie przy-
kry dla ambitnej i talentowanej autorki,
powinien być niezmiennie pouczający,
tym bardziej, że wcale nie jest odos-
bny. Niemal wszystkie lektury i do-
świadczenia widza każą wolać alarmować,
że nowe dramaturgiarstwo polskie nie
jest na dobrej drodze. Utworów przyby-
wa. Ach, błyszczą szlachetnością i grzeszą
w metnactwie, albo niedorozwiniętym sy-
stemem „kopatologii” poprzez skrót repo-
rtażu usiłują wbić pewne prawdy i praw-
dyczki. Równocześnie jednak, mimo wy-
rażnych w tym kierunku ambicji, wyka-
zują, że nie łatwo być Cocteau, Giraudoux
czy Shawem, których teatr zrodzony jest
z wielkiej ciągłości kultury i znajomości

ziemiosci scenicznego, a nie z jego lekce-
ważenia czy niedoceny. Niewątpliwie
mariaż Szekspira z Zapolską wychowywał
u nas podpatrywaczy człowieka i kon-
struktorów dramatu.

Niech mi daruję koleżanka Świrszczyń-
ska, ale nie zdolam uwierzyć, że forma
sceniczna „Orfeusza” wypłynęła z jej
świadomego założenia komplikowania
i rozwiązywania zadań artystycznych;
wprost przeciwnie jest formą nasłado-
waną i ułatwioną. A że forma przytła-
cza nurt myśli — dowód, że nie wystar-
cza tej myśli na taką długość tekstu, że
gubi się zamazana, i tuż słownymi po-
wodziłami. Tekst w wielu miejscach
ładny, przecież nie daję wrażeń, że nad
tym utworem rozbiła się bania poezji.
I nie potrafi Świrszczyńska ujarzmić wi-
downi, jak tego pragnie w słowie wstęp-
nym Swinarski.

Silne, bardzo radykalne i bezwzględne
cięcie reżyserskie tekstu bardziej wyra-
żiście naszkicowałyby rozważania poetki
o zagadnieniach życia i śmierci, tożsamo-
ści na marginesie uwspółcześnionych mitów
o Orfeuszu. Pokonywanie lęku w życiu,
ujarzmienie „wielkiej trwogi świata”,
jest równocześnie z pokonywaniem
śmierci jako procesu psychicznego w czło-
wieku. Człowiek, który daje się pokonać,
jest istotą umartą. Prawdą żywych jest
walka o wolność wewnętrzną, bunt prze-
ciw śmierci, dźwiganie istot upośledzo-
nych i upadłych, umiejętność pokony-
wania losu. — Taką wydaje mi się być
główna teza utworu. Wątpliwości czy su-
gestyj autorki, że i cierpienie jest celem
życia, nie mam ochoty — wyznaję szcze-
rze — sobie przyswajać.

Utwór Świrszczyńskiej (po niedawnej
prapremierze u Horzycy w Toruniu)
wprowadził na scenę krakowską dyr.
Woźnik z wielkim nakładem pracy, z re-
telnością wysiłku artystycznego przy
równoczesnej niewybaczalnej pobłażli-
wości dla każdego słowa tekstu. Podpi-
sując przedstawienie jako reżyser powi-
nien był wraz z kierownikiem literackim
co najmniej jedną trzecią tekstu usmie-
cić, by reszcie dać wyraziście — życie.

Inscenizacyjno-techniczne pomysły,
a przede wszystkim dekoracje i kostiumy
Jana Kosiniego są głównym kontrastem
przedstawienia. Trafnie kontrastu-
ją nabytym zarem południowego słońca
i hellenickiej swobodzie życia i obrazu w ka-
wiarni i w domu Orfeusza z nastrojowym
umysłowym Hadesu u wodopoiu Le-
ty. Architektura sceny rozwiązana po-
mysłowo, dobór plam barwnych i światła
przeważnie właściwy, żeby tylko wymie-
nić piękną scenę przyjęcia Hermes po
Eurydykę. Królestwo Persefony mało jed-
nak sugestywne, kostium Orfeusza nie-
ładny, kostiumy zaś Menad tracą re-
hardowską myśłą. Kompozycja mu-
zyczna Artura Malawskiego sugeruje
również zgodny z koncepcją reżyserską
nastroj, na którego tle najciekawiej za-
rysowuje się partia Eurydyki. Bardzo
delikatnie i wzruszająco, aktorsko wy-
raziście wykonana przez uczennicę szkoły
dramatycznej Halinę Mikołajską. Tadeusz
Białoszczyński czyni wrażenie więz-
nia tekstu, z którego nie zrobić nie można,
Zmiejewska świetnie wygłasza prolog,
a Michalina Dąbrowska dobrze urucho-
miła tajemny szal Menad.

Stanisław Witold Balicki

BRAVO, FILM POLSKI

Berno, w październiku 1946

Z wyrzekaniami i narzekaniami
na film polski spotyka się co
dzień. Są one uzasadnione i słus-
zne. Ale też tym większa ra-
dosć, kiedy ma się do czynienia
z czymś, co można z czystym sumie-
niem pochwalić. Obecnie znalazły się
w Szwajcarii trzy polskie krótkome-
trażówki. Demonstrowane w Bernie,
na specjalnym pokazie filmowym dla
dyplomacji i prasy, nie tylko nie ro-
bią wstydu, ale przeciwnie, są na-
prawdę pierwszorzędną propagandą.
Pierwsza pokazuje, w jaki sposób
w Łodzi pracuje pełną parą państwo-
wa fabryka żarówek. Druga poświę-
cona Tatrom, a zwłaszcza przepięknej
miejscowości Łopuszna, daje nie tyl-
ko obraz naszego pejzażu na tle ma-
lowniczego Dunajca, ale i obraz ży-
cia górali, którzy w trudzie i znoju
pracują na mało urodzajnej, skalistej
ziemi. Film trzeci „Odra” — to żywa,
celowa i mądra demonstracja tego,

co dzięki granicy na zachodzie zdo-
byliśmy, co uprawiamy, rozbudowu-
jemy i czego nie oddamy, choćby
Byrnes i Churchill wygłosili jeszcze
150 przemówień.

Na czym polega doskonałość tych
filmów, co jest istotą ich wartości
propagandowej? To, że realizatorzy,
dając zdjęcia świetne pod względem
technicznym, uniknęli szczęśliwie pa-
tosu, taniego, łatwego sentymental-
izmu i tromtadacji. Podczas ogląda-
nia obrazów opadał nas raz po raz
lęk, że oto zjawi się na ekranie jakiś
dostojnik, coś tam będzie poświęcał,
przecinał, do czegoś wzywał, coś
oświadczał. Że kogoś odznaczą i na-
grodzą za to, że żyje, że oddycha, że
sieje, orze i pracuje. Tymczasem nic
podobnego. Nie ma dostojników, ani
odznaczonych, nie ma banalnych
przywitań, pożegnań i poświęceń.

Działanie tego rodzaju propagandy
jest stokroć silniejsze od taniej fra-
zeologii, od szablonoego entuzjaz-

mu. Widz, którym w tym wypadku
jest cudzoziemiec, staje nie wobec
frazesów, lecz wobec faktów, ma oka-
żę przekonać się jak pracujemy,
jak zwalczamy trudności i czym są
dla nas sprawy, nad którymi pewni
ludzie, pewni politycy chcieliby
przejsć do porządku. Zwłaszcza
ma to ogromne znaczenie w Szwaj-
carii, w której żyją ludzie myślą-
cy niemal wyłącznie kategoriami
realnymi.

Może najpiękniejszym fragmentem
filmów, o których mowa, jest mo-
ment, w którym wojsko przy pomocy
koni artyleryjskich zaoruje odzyska-
ne na zachodzie ziemie. Mimo woli
przychodzą na myśl słowa poety Ro-
manowskiego, które Żeromski zaczy-
tał w „Szyfowych pracach”:
„Kiedy wykuję strudzeni oracze
Lemiesz z pałasy skrwawionych?
Kiedy na ziemi już nikt nie zapłacie
Prócz rosy łak naszych zielonych?”

Jacek Frühling

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

PRZYRODA I TECHNIKA

Jerzy Barski. Na wielkiej fali. Zbiór fe-
letonów naukowych. Seria I. Łódź,
„Książka”, 1946; str. 123 i 3 nl. — 40 zł.
„Mathesis Polska”. T. I. James Jeans.
Niebo. Astronomia dla laików. Przełożył
dr Władysław Kapuściński, prof.
U. W., wyd. III, Wrocław, „Czytelnik”,
1946; str. VIII i 138 i 2 nl. i XLVI tablic
i 2 mapy. — 255 zł.

Biblioteka Powszechnych Wykładów Uni-
wersytetu im. M. Kopernika. Edward
Passendorfer. Budowa i życie skorupy
ziemskiej. Toruń, „Księgarnia Nauko-
wa”, 1946; str. 21 i 1 nl.

Biblioteka Powszechnych Wykładów Uni-
wersytetu im. M. Kopernika. Edward
Passendorfer. Przeszłość ziemi i metody
jej badania. Toruń, „Księgarnia Nauko-
wa”, 1946; str. 21 i 1 nl.

Biblioteka Popularno-Naukowa. Nr 2. M.
F. Subbotin. Pochodzenie i wiek Ziemi.
Łódź „Książka”; str. 68 — 18 zł.

Inż Edward Kreiser. Podręcznik fotogra-
fii. Kraków, „Księgarnia Powszechna”,
1946; str. 270 i 2 nl. — 320 zł.

Dr Tadeusz Piotrowski. Przepływy o ruchu
pojazdów mechanicznych. Podręcznik
dla kierowców ilustrował Roman Or-
szulski. „Księgarnia Powszechna”, 1946;
str. 73 i 5 nl. i 1 tablica — 90 zł.

Józef Lorenz. Wzorowa pasieka. Podręcz-
nik dla pszczelarzy Kraków, „Księgar-
nia Powszechna”, 1946; str. 38 — 280 zł.

Jan Muszyński, prof. U. Ł. Uprawa i zbiór
roślin leczniczych Łódź, „Poligrafika”,
1946; str. 138. — 140 zł.

Witold Skalski. Jednolity plan kont przed-
siębiorstw przemysłowych i handlowych
w praktyce. Poznań, Wł. Wilak, 1946;
str. 71 i 1 nl. i 4 tabele. — 150 zł.
Józef Wojnar. Rosyjsko-polski i polsko-
rosyjski słownik naftowy. Kraków, In-
stytut Naftowy w Polsce, 1946; str. 145
i 1 nl. — 160 zł.

PUBLICYSTYKA

Tadeusz Gede. Co nam dają Ziemie Za-
chodnie. Warszawa, „Książka”, 1946;
str. 38.

Konstanty Grzybowski. Senat albo anty-
demokratyczny albo niepotrzebny.
Łódź, „Książka”, 1946; str. 20.

Leszek Kiłma. Łużyce wołają. Toruń,
1946; str. 37 i 3 nl. i 1 ilustracja.

Tadeusz Kraszewski. Byli i będą nasze.
(Popularne pogadanki o Ziemiach Od-
zyskanych). Poznań, „Wydawnictwo
Zachodnie”, 1946; str. 32.

Biblioteczka Oświaty Robotniczej Leon
Kruczkowski. Człowiek i powszedniość.
Warszawa, 1946; str. 30 i 2 nl.

Dr. Gerard Labuda. Źródła Niemocy pol-
skiej na kresach zachodnich. Odbitka
z „Przeglądu Zachodniego” Nr 2 Po-
znań, 1946; str. 14.

Łużycom wolność. Poznań, „Wydawnic-
two Zachodnie”, 1946; str. 76.

Biblioteczka Oświaty Robotniczej Maria
Ossowska, dr. prof. U. Ł. Wzór obywatela
w ustroju demokratycznym War-
szawa. Towarzystwo Uniwersytetów Ro-
botniczych, 1946; str. 20.

Podpalce kwiaty. Praca zbiorowa ze
wstępem Wacława Rogowicza. War-
szawa. Państwowy Instytut Wydawniczy,
1946; str. XII i 380 i 6 nl. — 280 zł.

Biblioteka Hutnika. Marian Sadłowski.
Oszczędność dźwignia dobrobytu Cho-
rzów. Centralny Zarząd Przemysłu Hut-
niczego, 1946; str. 23 i 1 nl.
Szczecin 1946. Przemówienia wygłoszone
podczas uroczystości w Szczecinie w dniu
13 i 14 kwietnia 1946 r. Łódź, „Książka”,
1946; str. 55. — 4 zł.

Ludwik Szczepański. Konieczność refor-
my seksualnej. Program reformy seksu-
alnej w Polsce. Kraków, „Plan”, 1946;
str. 24. — 30 zł.

Ludwik Szczepański. Życie płciowe w pe-
tach i walka z nierządem w Polsce.
Kraków, „Plan”, 1946; str. 24. — 30 zł.

Grażyna Terlikowska Woysznis. Most. Fak-
tomontaż. Warszawa, 1946; str. 24.

Mieczysław Wągrowski. Rozmowy z mal-
kontentem. Warszawa, „Książka”, 1946;
str. 48. — 15 zł.

Wanda Żółkiewska. Koniec królestwa ron-
dli. Łódź, „Książka”, 1946; str. 20 — 12 zł.

LITERATURA PIĘKNA

M. Dereżyński. Nieznane wiersze mł-
dzieńce Jana Kasprzaka. Odbitka
z „Alma Mater Thoruniensis” Toruń,
1946; str. 10 i 2 nl.

Jan Maria Głog. Wzleń i chłop. Poe-
zje. Kielce „Kielecki Klub Literacki”,
1946; str. 37 i 3 nl.

Tadeusz Jęzicki. Arkusz poetycki [Nr 1.
Kraków, Wydawnictwo Zespołu „In-
czel”, 1946; 8 nl. — 10 zł.

Juliusz Słowacki. Anelli. „Jele” dosło-
wem a poznankami opatł Josef Ma-
tou. Vydání první. Praha, Jan Poho-
řely, 1946; str. 96 i 4 nl. i 4 drzeworyty.

Ktorego letniego miesiąca chciałem
w czytelni profesorskiej Biblioteki Ja-
giellońskiej przejrzeć pewne czasopismo
Ze zdumieniem patrzyłem na dziwne
dobre wyłożonych periodyków i za-
mierzele daty. „Odrodzenie” było
sprzed dwóch miesięcy, „Tygodnik Po-
wszechny” i „Książka” sprzed miesiąca.
„Wieś i Państwo” sprzed pół roku! Dy-
żurny bibliotekarz z dobroliwym uśmie-
chem wytłumaczył mi, że wydawnic-
twa przychodzą, jeżeli chcą i kiedy
chcą, ponieważ nie ma ustawy o egzem-
plarz obowiązkowym.

Oczywiście, zarządny bibliotekarz będzie
umiał wiele od redakcji wydobyć, ale
sęk w tym, że zarządny bibliotekarz jest
na ogół białym, ale to bardzo białym
krukiem. Któż bowiem zarządny z wy-
szszym wykształceniem pójdzie pracować
w bibliotece w stopniu woźnego? Toteż
idą wyjątkowi ofiarnicy, a że do życia
uzbrojona większość szuka w niej nędz-
nego ale spokojnego chleba. Niezarządny
bibliotekarz w stopniu woźnego zostaje
potem niezaradnym kustoszem, nieza-
radnym dyrektorem i niezaradnym urzę-
dnikiem w Dyrekcji Bibliotek.

Efekt jest taki, że nasze zdewastowa-
ne biblioteki zasobnią nie w książki
lecz w wielkie luki, nie tylko w tzw.
monografiach, ale zwłaszcza w periody-
kach, które niesłychanie trudno będzie
później skompletować. Nie każda biblio-
teka może sobie pozwolić na kupno, jak
Biblioteka Uniwersytecka we Wrocławiu,
gdzie zaopatrzenie w czasopisma
jest imponujące. Na ogół biblioteki otrzy-
mują tak niskie uposażenie, że wystar-
cza ono zaledwie na oprawę książek.

Niedawno dowiedziałem się, że jesz-
cze wciąż nie ma ustawy o egzemplarz
obowiązkowym. Przedwojenna została
unieważniona przez rząd jeszcze w Lu-
blinie, potem miano powierzyć ściąganie
egzemplarzy kuratoriom (niby dlaczego
im?), potem i tego nie wykonano. Na
przeszkodzie nieszczęśliwej ustawie stoi
jakoby fakt, że interesuje ona aż kilka
ministerstw: Oświaty, Kultury i Sztuki,
Administracji i Propagandy, jeśli nie
inne jeszcze. Może się znaleźć jednak
w Warszawie dość aut, które by dostoj-
nych referentów zwoziły w jedno miej-
sce, ażeby się wreszcie dogadali. W naj-
gorzszym razie mogą ustawę odpisać np.
od Czechów.

Kuratoria ani biblioteki egzemplarzy
obowiązkowych nie otrzymują. Czasem
przez osobistą interwencję czy znajo-
mość tego czy owego bibliotekarza
zdola się egzemplarz z Urzędu Infor-
macji i Propagandy wydostać, bądź
też wyegzekwować go od i tak dosyć
obciążonego drukarza lub wydawcy.
A przecież jest co najmniej wątpliwe;
czy Urząd Informacji i Propagandy
wzięcie na siebie ten obowiązek, który
dotąd spoczywał na kilkunastu bibliote-
kach w Polsce przechowywanie książki
dla przyszłych pokoleń (muzeum książ-
ki), nie mówiąc już o obowiązkach bi-
bliotek względem współczesnego czytel-
nika.

Zwracam się do ludzi pióra z prośbą,
aby się zajęli poruszoną tu sprawą i ze
swej strony jak najsilniej domagali się
od władz naprawienia istniejącego za-
niedbania w gospodarce książkami.

Stanisław Urbańczyk

BLISKI JEST CZAS
RUNIĘCIA PIECA

„Bliski jest czas runięcia pieca, przy
którym jak u ołtarza spalił się boha-
terowie nudy. Jawi się kuli nowy. dra-
matu życia, ubóstwa serdecznego, nie-
doli tych, którzy szukają, a szukać nie
chcą według dawnego, starego dонец-
nika wrorów. Narzwanie to jakoś, jeśli
konieczne każdemu myśleniu podoba
się wam przypiąć łatkę z diabełkiem,
obsmarowanym białą kredą” — tak powia-
da J. B. Ożóg w „Wyznaniach auten-
tysty” („Warszawa”, nr 7), a po kilku
zdaniach stwierdza że „Pogląd na świat,
jaki głosi autentyzm, nie jest zaledwie
całkiem nowy to jest jakiś ekstra huma-
nistyczny romantyzm, jeśli tak można
rzec”. Można rzec i tak, a można też
tak „ekstra romantyczny humanizm”
a’bo „humanistyczny ekstra romantyzm
humanistyczny”. Można, jak kto chce,
tym bardziej, że „bliski jest czas runię-
cia pieca” i jawi się kuli ubóstwa ser-
decznego.

Szkola krytyków CZY ROMAN BRATNY ZOSTANIE VICTOREM HUGO?

Kto by dzisiaj, u początku zainaugurowanego przed kilkoma tygodniami sezonu teatralnego, powiedział, że sytuacja teatru polskiego uległa radykalnej zmianie, że przez teatr i twórczość dramatyczną przeszedł odrodzenie wstrząs — skłamałby. Całe lata wyjątkowej pracy są potrzebne, by nadrobić spustoszenia poczynione przez okupację w zbiorowym instrumentie o tej czułości co teatr. Spustoszenia pomnożone błędami przypadkowej gospodarki ubiegłego sezonu.

W tej sytuacji każde świadectwo zadowolające, że wstrząs podobny jesteśmy w stanie przyspieszyć, czyta się z podwójnym zainteresowaniem. Niewątpliwie takim wystąpieniem jest obszerny artykuł Zygmunta Kalużyńskiego w ostatnim numerze „Pokolenia” (nr 5): „Zbliży się polska „La bataille d’Hernani”. Kalużyński stawia tezę, że sezon nadchodzący, który ujawni na scenie najnowszą twórczość dramatyczną — Bratny, Gorczycka, Gajcy — będzie terenem zasadniczej walki między dramatem ekspresjonistycznym, przystosowanym wszakże do nowych warunków rzeczywistości, a dramatem realistycznym. Sądzi — na przykładzie „Starego dworku” Wazyka, że dramat realistyczny nie posiada dostatecznej wymowy, by ująć doświadczenia okupacji. Sądzi wreszcie, że dramat poetycki i liryczny, który przewijać się będzie głównie przez sceny krakowskie, odpadł już w przedbiegach.

Co w tych nadziejach i postulatach jest słuszne? Niewątpliwie najsluszniejsza jest ich podstawa ogólna. To mianowicie, że Kalużyński zakłada, iż treść postulatów realistycznego w dramacie musi być dopiero stworzona. Wzory z przeszłości okazują się bardzo zawodne. Kalużyński słusznie wykrywa ich bardzo mieszczańską proveniencję, sięgając aż Augier i Sardou. Realizm współczesny, szczególnie w dramacie, musi szukać form z pozoru dalekich od realizmu znanego historycznie, ponieważ rzeczywistość, jaką ma odzwierciedlać, odbyła się w ramach i wydarzeniach wybiegających poza formułę. „Sposoby ujmowania społecznej rzeczywistości są liczne i nie musimy ich zubażać” — postuluje słusznie Kalużyński.

Albo czy Roman Bratny zostanie Victorem Hugo? Zastępując nazwiska terminami: czy rzeczywistość nowy ekspresjonizm jest tym kluczem, który otworzy zamki rzeczywistości? I czy ten nowy ekspresjonizm jest naprawdę aż na tak dalekich od idealistycznego teatru pozycjach, jakie wyznacza mu Kalużyński. Wątpliwości, jakie się tutaj budzą, są całkiem zasadniczego gatunku.

Niewątpliwie, by znów rozpocząć od przyznania Kalużyńskiemu należnej słuszności, jego diagnoza objawów zachodzących u najmłodszych pisarzy jest słuszna. Rzeczywiście geniza takiej prozy jak Bratnego czy Zalewskiego prowadzi do ekspresjonizmu. Rzeczywiście ten ekspresjonizm jest bardziej realistyczny, aniżeli bywał u niemieckich twórców kierunku. Mimo to nadzieje przywiązane

wane doń przez Kalużyńskiego wydają się grubo przesadzone. Przede wszystkim dlatego, że ten zasadniczy dystans między teatrem poetyckim a ekspresjonistycznym rzeczywistość ratowałby ów dramat drugi, gdyby wogóle istniał w tym rozmiarze. Ciekaw bardzo byłbym tego dowodu, dajmy na to, — na przykładzie dramatów Gajcego.

Powód dalszy nieufności jest ten, że korzenie ekspresjonizmu sięgają tym samym pokładów aktywizmu, pędu dla pędu, ruchu dla ruchu, który formował faszystowskie ideologie przedwojenne. To, że Hitler tępił ekspresjonistów, dowodzi tylko jego tępoty. Gdyby posiadał przynajmniej takie rozeznanie w sprawach sztuki jak Napoleon, śmiał przypuszczać, że nie byłby tego czynił; jego maniacki aktywizm jest bowiem z tego samego ducha. I jeżeli nagle eks-

presjonizm narzuca się dzisiaj najmłodszemu pisarzom jako jedyna forma odzwierciedlenia rzeczywistości okupacyjnej, jeżeli narzuca się on nie tylko w Polsce, to mniej są oni w tym wynalazcami, raczej — nie wiedząc o tym — ulegają. Ulegają niedawnej przeszłości, którą by radzi zrzucić z siebie, oczyścić i wysublimować za pośrednictwem sztuki. Raczej są określeni obłądną groteską hitlerowską, narzucającą i podsuwającą formy, w jakich chce być odzwierciana. To mocno niepokoi, a nie — jakby chciał Kalużyński — otwiera szerokie perspektywy. A jeżeli otwiera, to perspektywy skierowane na przeszłość.

Dlatego artykuł Kalużyńskiego powinien się stać bastionem do zasadniczej dyskusji na temat młodego dramatu. Sygnalizujemy jej potrzebę. Czas oznaczyć teatry. Kiedy sztuki, na których opiera Kalużyński swoje rozumowanie, ujrzymy w Łodzi, w Krakowie i w Warszawie, wtedy dyskusja nie potoczy się w próżnię.

lejw.

ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

Ruch muzyczny w Krakowie zaczyna się ożywiać. W ostatnim tygodniu mamy do zanotowania kilka nowych koncertów: rozpoczęło swą działalność Biuro Koncertowe Związku Muzyków, a jako nowa placówka także i Polskie Wydawnictwo Muzyczne, które zorganizowało wielki koncert w kościele Mariackim na odwołanie ołtarza Wita Stwosza i zapowiada kilka bardzo ciekawych imprez, poświęconych szczególnie polskiej muzyce współczesnej.

W pierwszym koncercie Biura Koncertowego Związku Muzyków usłyszeliśmy recital Olgi Łady, poświęcony amerykańskiej pieśni ludowej. Program w naszych warunkach zarówno oryginalny, jak i wysocę wartościowy i muzycznie interesujący. Złożyły się nań dwa typy ludowych pieśni amerykańskich: murzyńskie i indiańskie. Związka te pierwsze, reprezentujące pieśń religijną, tzw. „Negro Spirituals”, to zjawisko artystyczne wysokiej klasy. Prostota, naiwność i szcerość wyrażonych w nich uczuć są ich największą wartością. Ma się wrażenie, że to jakaś Biblia murzyńska przełożona na język dźwięków, w której cała głębia uczuć wyrażona została środkami najprostszymi. Wielka szkoda, że muzyczne opracowanie tych pieśni, którego dokonali amerykańscy muzycy Thurlow Lieurance (pieśni indiańskie) i Robson (pieśni murzyńskie), nie potrafiło dostosować się do tej prostoty, że było właśnie za dużo „opracowaniem”, zwłaszcza w wypadku pieśni indiańskich, gdzie podkład harmoniczny, wyciskający konwencjonalne schematy dźwiękowe muzyki europejskiej, nawet w znacznej mierze zniekształca same melodie. Natomiast interpretację Olgi Łady musi się nazwać po prostu świetną. Począwszy od samego podejścia, niezwykle muzyczności, kultury, po świetną dykcję w oryginalnym języku — wszystko tam było na miarę artystki wysokiej klasy. Zupełnie niezrozumiał był brak zainteresowania ze strony publiczności, która tłumnie zapeniała sale, gdy w programie widnieją arie operowe, ogólnie znane i śpiewane, a nie reaguje na zapowiedź koncertu, który przy całej swej niewątpliwie przystępności obcuje jakiegoś nowo wrażeń artystyczne. Koncert poprzedzony był „Słowem wstępnym” dr Zofii Liszy, która w sposób zajmujący przedstawiła artystyczną i społeczną genezę tych pieśni. Akompaniowała Irena Gaszewska.

Koncert Filharmonii Krakowskiej w dniu 8 bm. nasunął znowu wiele uwag krytycznych odnośnie programu. Zasada umieszczania w każdym koncercie przynajmniej jednego utworu polskiego i uwzględniania współczesnej polskiej twórczości muzycznej jest niewątpliwie bardzo chwalebna. Tym razem usłyszeliśmy Sinfonietę

Piotra Perkowski, jeden z najlepszych jego utworów, ładnie skomponowany pod względem dźwiękowym i grabrany w fakturze. Niestety wykonanie Sinfoniety pod batutą Witolda Krzemieńskiego muszę nazwać zupełnym nieporozumieniem. Sam sposób podejścia do tej muzyki był fałszywy; tempa i brzmienie, zwłaszcza w forte, były nie do przyjęcia. Były zresztą i inne jeszcze „nieporozumienia” na koncercie piątkowym, choćby umieszczenie w programie „Itali” Alweda Casella, utworu, którego nie można nazwać inaczej niż smutną najgorszego gatunku. Jest to zresztą utwór z bardzo wczesnej młodości, który nie może wcale dać wyobrażenia o swoim twórcy. Nie nie usadnia też faktu umieszczenia go w piątkowym koncercie symfonicznym, przeznaczonym dla dzieł tzw. wielkiego programu. Nie chce przez to powiedzieć, by Casella nie należał do wybitnych kompozytorów XX wieku. Bywa często efektywny, efekciarski itp., ale w wieku dorzeczym wygląda jego twórczość przecież inaczej. W każdym razie nie można uważać „Itali” za dzieło dla niego reprezentatywne, o ile nie pokazuje się innych jego kompozycji, nie mówiąc już o tym, że taka polityka programowa jest pod względem wychowawczym zupełnie nieuzasadniona. Trzecie nieporozumienie tego wieczoru — to Koncert fortepianowy op. 145 (niepokojąco wysoka liczba opusów) Raula Koczalskiego. Nie bardzo mogę zrozumieć, w jakich środowiskach muzycznych kompozycja tego typu może być brana na serio. Pewne jest, że w dzisiejszej Polsce jest to zupełnie niemożliwe. Jego absolutna pustka wewnętrzna, brak wszelkiej emocji, którą zastępuje sztuczny, a równocześnie naiwnie podany pozerstwem, efektizm i brak wszelkiego zmysłu konstrukcyjnego meczą słuchacza tak dalece, że przechodzi mimo nawet obok tak świetnych pianistycznych walorów, jak te, które reprezentuje Koczalski jako wykonawca. Wystąpił on dopiero w nadadkach, które oczywiście z natury rzeczy nie mogły nam dać pełnego obrazu środków wykonawczych, jakim dysponował „Koczalski, ale w każdym razie udowodniły, że posiada świetną, precyzyjną technikę i opanowanie instrumentu, które muszą budzić wysoki szacunek.

W koncercie religijnym, urządzonym 9 bm. w kościele Mariackim, usłyszeliśmy — z udziałem naszych najwybitniejszych wykonawców — kompozycje polskie różnego poziomu i stylu, począwszy od naszych mistrzów XVII wieku aż po kompozytorów współczesnych, od utworów muzyki religijnej w ścisłym tego słowa znaczeniu aż do instrumentalnych, które zostały włączone do programu przede wszystkim dlatego, że związane są ze specyficznym kościelnym instrumentem —

SZKOŁA UMIARU

W Muzeum Narodowym w Warszawie została otwarta wystawa: Czechosłowacja 1939—1945. Daje ona przegląd dzieł naszego południowego sąsiada od czasu aneksji aż do uwolnienia Pragi. Sposób urządzania tego pokazu odznacza się wielką bezpretensjonalnością. Na ekranach ustawiono „schodkowo” wielkie, charakterystyczne zdjęcia opatrzone kilkukierunkowym hasłem: „Praga porwała za broń”, „Wytrwali”, „Bcz jedzenia” itd. Zadnych wykresów, rysunków, eksponatów. Dyskretnie umieszczone nadnaturalnej wielkości zdjęcia dokonywanych zbrodni (ustawione do sali ukośnie za ekranami, przesłonięte muslinem — sprawiając — oglądane w skrócie — niesamowite wrażenie rzeczywistości). Technika fotograficzna na najwyższym poziomie. Jedynolity ciąg zdjęć przerywają autentyczne niemieckie „Bekanntmachungen” z lapidarnymi objaśnieniami. W kilku doświadczeniach gablotkach nieco autentycznych wydawnictw podziemnych i publikacji dokumentarnych. Szczególnie ciekawe są

wydawnictwa i zdjęcia z czeskiego powstania. Subtelnie porażono czeskie polonica (np. organizowanie wojsk czeskich przez gen. Svobodę przed samą wojną w Krakowie). Ładna rzeźba brązowa Jana Stursa — wysmukła postać młodzińca, mająca symbolizować zwycięstwo — oraz kilka barwnych chorągwi dopełniają obrazu. Mała, starannie wydana broszurka, ilustrowana niektórymi wystawionymi zdjęciami, uzupełnia wystawę. Polskiego czytelnika razią tylko dość liczne potknięcia tekstu (książeczkę drukowano w Pradze Czeskiej), jak „parasutysty”, „illegality”, „Ukrajina” itd. Wystawa czeska jest prawdziwą szkołą umiaru i osiąga wielki efekt propagandowy.

ar

BŁOK PO POLSKU

„Kamcna” poświęca potrójny numer 8—10, za czerwiec—sierpień 1946, Aleksandrowi Błokowi. Zawiera on przede wszystkim tłumaczenia utworów Błoka, obok których wplecione są opracowania, stanowiące wobec przekładów znikomą pozycję.

Redakcja cały swój trud poświęciła zgromadzeniu materiału, który by dawał możliwie najpełniejszy obraz twórczości poety, i dlatego numer więcej przypomina tom „wierszy wybranych” niż czasopismo literackie. Wynika stąd pewne przesławanie i monotonia. Liczba przekładów przytacza i wydaje się, że jak gdyby pietyzm dla poety nie pozwolił na konieczne w granicach wydawnictwa wybór i eliminację — gdyż wiele poezji nie wnosí nic nowego do obrazu twórczości Błoka. Spośród tłumaczy najwięcej pracy włożył K. A. Jaworski (zaślanie na wzmiankę przekład wiersza „Z gazet”, który wyróżnia się od pozostałych poetyckim rytmem i tym, że nie jest tylko mozaiką naciąganej do metrum prozy). Najwięcej powodzenia w przyswojeniu Błoka mieli Lechoń, Czechowicz (szczególnie „Błotny kłeszyk”) i — nie zawsze — Pollak. Poza tym do stworzenia chronologicznie uporządkowanego obrazu twórczości poety przyczynili się jako tłumacze: Jastrun, Liebert, Łobodowski, Denhoff, Czarnocki, Podhorski-Okołowski i Słobodnik.

Również chronologicznie ułożona część krytyczna numeru składa się przeważnie z przedruków (trzy fragmenty Siedleckiego, przedstawiające kulturalno-historyczne tło epoki) oraz krótkich, nie wnosiących nic nowego artykułów informacyjnych (Eugeniusz Tager, S. Kulakowski, N. Kallin).

Biografizm, pietyzm i pewna anachroniczność cechują tę prozę, która nie posiada charakteru studiów krytyczno-literackich w ścisłym znaczeniu.

Tekst skażony w paru miejscach przez niestaranną korektę. Wygląd zewnętrzny wydawnictwa skromny — taki niewątpliwie, na jaki pozwalają możliwości materialne — nieco „myszka traci” (portret Błoka na karcie tytułowej). Jap

SZKOLNICTWO ZAWODOWE

Spis szkół zawodowych stopnia gimnazjalnego i licealnego. (Informator). Opracował komitet pod redakcją J. Grabowskiego i J. Bartosikówny. Warszawa, 1946; str. 61 i 3 n.

Dobrze się stało, że pomyślano o wydaniu informatora obejmującego wszystkie szkoły zawodowe na terenie całego kraju w roku szkolnym 1945/46. Dajacy się bowiem odczuć, po ciężkich latach okupacji, naturalny pęd młodzieży wiejskiej i robotniczej do szkoły winien być ujęty planowo, celem kształcenia robotników-fachowców wszelkiego typu tak bardzo dziś potrzebnych w odbudowie życia gospodarczego kraju. Broszura ta winna dotrzeć przez inspektoraty szkolne i kierownictwa szkół do szerokich mas i stać się drogowym przewodnikiem dla młodzieży. Zamieszczone artykuły J. Sobińskiego, „Do wychowawców młodzieży”, A. J. Baculewskiego, „Wartość wykształcenia zawodowego” i inż. W. Czerwskiego, „O wyborze zawodu” są godne podkreślenia. Hieronim Sartowski

Nowy tom „Przeglądu Socjologicznego” za 1946 r. ukaże się w połowie grudnia br.

Zawiera on między innymi prace: J. Chałasińskiego, M. D. Goodfellowa, Al. Hertza, L. Krzywickiego, B. Malinowskiego, J. Obreńskiego, St. Rychnińskiego, J. Szczepańskiego, Cz. Znamierowskiego oraz dział recenzji.

Cena całego tomu o objętości około 250 stron wynosi w przedpłać do dnia 15 grudnia 1946 r. 180 zł.

Pieniądże można wpłacać na rachunek czekowy w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddział w Łodzi, konto nr 181. Aleja Kościuszki 47, Łódź, z określeniem przeznaczenia wpłaty albo przez pocztę na adres: Polski Instytut Socjologiczny, Łódź, ul. Uniwersytecka 3.

Po 15 grudnia cena numeru będzie znacznie podwyższona.

K O R E S P O N D E N C J A

NA TEMAT HISTORII GOSPODARCZEJ

Do redaktora „Odrodzenia”
Po przeczytaniu notatki js w numerze 41 „Odrodzenia” pt. „Z gór jeszcze nie zeszyły pieśni”, której głęboka słuszność, jako studentka historii, mogę ocić, ośmielam się wypowiedzieć parę uwag na ten temat. Sądzę, że nie należy się spodziewać poprawy stanu naszej historjografii, póki historia gospodarcza będzie na uniwersytetach traktowana po macoszemu. Obecnie można przejsz przez uniwersytet i otrzymać dyplom magisterski, nie mając o historii gospodarczej najmniejszego pojęcia. Wprawdzie, teoretycznie biorąc, wchodzi ona w skład poszczególnych egzaminów z dziejów średniowiecznych i nowożytnych, ale wobec olbrzymiego materiału z zakresu historii politycznej zagadnienia gospodarcze są przeważnie pomijane, zarówno przez studenta, jak i egzaminatora.

Dziwne jest, że taki stan rzeczy może się utrzymywać, choć wszyscy zdają sobie sprawę z jego szkodliwości. Nasi profesorowie zachęcają nas stale do bliźszego zajęcia się historią gospodarczą. Nawiasem mówiąc dość utrudnienie stanowi fakt, że na uniwersytecie poznańskim katedra historii gospodarczej znajduje się tylko na wydziale prawnoko-nomicznym a nie na humanistycznym. Ale to nie jest ważne. Sprawa bowiem jest zbyt zasadnicza, aby można ją było pozostawiać dobrej woli słuchaczy. Konieczne jest wprowadzenie obowiązkowego egzaminu z historii gospodarczej i ekonomii. Tylko pod tym warunkiem czas, praca i zdolności młodego pokolenia historyków będą mogły być w pełni wykorzystane dla dobra nauki, zamiast jak to się obecnie niejednokrotnie dzieje, iść na marne.

Jolanta Essmanowska (Poznań)
studentka IV roku historii U. P.

KTO WIE?

Do redaktora „Odrodzenia”
Adam Mauersberger w komentarzu do „Nieprzejętą” J. Vallesa („Twórczość”, 1948, zes. 3) wspominał m. l. nazwisko J. A. Herbaczewskiego. Józef Albin Herbaczewski (młodszy brat Bolesława Szczepnego, autor „Potępienia”) (Kraków, 1906) przebywał przed powstaniem w Warszawie.

Może ktoś z czytelników „Odrodzenia” wie o losie tego pisarza? Za wszystkie wiadomości o nim składam z góry najserdeczniejsze podziękowania.

Witold Armon
Łubowo, p. Wartosław, pow. Szamotuły

W KOŚCIELE ŁĘCZYCKIM

Do redaktora „Odrodzenia”
Przejeżdżając przez Łęczycę zwiędłym kościół pokonany przy trakcie Łódzko-kutnowskim i zobaczyłem, co następuje:

Na wzniesieniu, na lewo od ołtarza głównego znajduje się „szklana trumienka ze zeschniętym szkieletkiem dziecka. Nad trumienką wisł pod szkieł maszynopis. opisujący historię szkieletka —

Polecamy:
Najwartościowsze dzieła literatury światowej:
Ewa Curie — Maria Curie
André Maurois — Dzieje Anglii I/II.
Axel Munthe — Księga z San Michele.

Nowości
Józef Wasowski — Człowiek — naród — ludzkość.
Wacław Żdzarski — Od obiektywu do negatywu. Podręcznik fotograficzny.

Uwaga! Szkoły rolnicze!
Sławomir Miklaszewski — Zarys nauki o glebie. Podręcznik zalecony przez Min. Rolnictwa.

Wydawnictwo Galster, Lauter i Rutkowski, Konto P. K. O. — 1510.
Warszawa, Marszałkowska 90.

treści mniej więcej następującej: Roku 1639 uprowadzone zostało dwuletnie dziecko wyrobnika przy złoćnicy, przekupione przez Żydów. Dziecko po dwóch dniach odnaleziono pod lasem ze stw ranami kłutymi. Sąd Lubelski wydał wyrok skazujący złoćnicę.

Obok maszynopisu zawieszony jest olejny obraz, przedstawiający grupę Żydów, siedzących koło stołu z nożami w ręku. Na stole okrytym białym obrusem stoi wanienka, w której znajduje się dziecko zanurzone we krwi. Jeden z otaczających Żydów ściga krew dziećmi do szklanki.

Fakt ten uważam za obowiązek podać do publicznej wiadomości i zwrócić nań uwagę władz.

Maurycy Zielonka (Płock)

SPROSTOWANIE
NIE 15 LE CZ 150

Zeszyt 25 Polskiego Słownika Biograficznego (patrz artykuł St. Papęgo „Jak powstał Polski Słownik Biograficzny” w nr 45 „Odrodzenia”) przynosi około 150 życiorysów a nie około 15, jak błędnie wydrukowano.

Polecamy:
Najwartościowsze dzieła literatury światowej:
Ewa Curie — Maria Curie
André Maurois — Dzieje Anglii I/II.
Axel Munthe — Księga z San Michele.

Nowości
Józef Wasowski — Człowiek — naród — ludzkość.
Wacław Żdzarski — Od obiektywu do negatywu. Podręcznik fotograficzny.

Uwaga! Szkoły rolnicze!
Sławomir Miklaszewski — Zarys nauki o glebie. Podręcznik zalecony przez Min. Rolnictwa.

Wydawnictwo Galster, Lauter i Rutkowski, Konto P. K. O. — 1510.
Warszawa, Marszałkowska 90.

STANISŁAW GRABSKI

Kiedyś mowa o Stanisławie Grabskim — dobrze przypomnieć jedną rezolucję: „Zebrani na wiecu w dniu 17 maja 1938 przestrzegają ogół polskiej młodzieży akademickiej przed próbami dywersji i rozkładu, jaki od kilku lat usiłuje wnieść na nasz teren bankrut polityczny p. Stanisław Grabski, który nie waha się grać na najniższych instynktach młodzieży, byleby osłabić szeregi narodowe i wzmocnić front obrony żydowskiego posiadania w Polsce”.

Tak we Lwowie w r. 1938 oceniali kandydaci na „narodowych” władców Polski działalność jednego z wybitniejszych socjologów i ekonomistów, typowo polskiego indywidualisty w polityce, ale człowieka o dużym rozumie politycznym, wielkiej szlachetności myślenia i prostolinijności działania.

Nowa książka Stanisława Grabskiego „Na nowej drodze dziejowej”, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946, ma wszelkie cechy umysłowości Grabskiego. Pozornie chaotyczna, żywa i interesująca, ma jednak wyraźnie jeden kierunek polityczny. Widziałbym go przede wszystkim w zdaniu: „Myliłby się gorzko, kto by sobie wyobrażał, że po tym, co się działo na południowo-wschodnich naszych kresach w 1943 r., możliwe byłoby kiedykolwiek zgodne współżycie ludu polskiego i ukraińskiego w tych samych wsiach, powiatach i województwach”.

Grabski jest pierwszym człowiekiem z dawnych Kresów Wschodnich, który ma odwagę odpisać na konto strat to, czego nie da się odrobić. Nie dlatego — i on pierwszy z ludzi kresowych ma odwagę to powiedzieć — że tak za nas zdecydowali inni w Teheranie i Jaltie, ale dlatego, że my sami tego zagadnienia nie potrafiliśmy rozwiązać. Takie „odpisanie” straconych pozycji pozwala tym jaśniej ocenić znaczenie pozycji nowych, dlatego to, jakie daje Grabski, jest cenne i konieczne. „Nowa droga” — to dla niego szybki postęp gospodarczy, równomierny rozkład dochodu społecznego, jak najbardziej równomierne uprzedmiotowienie kraju na całej jego przestrzeni. A więc program pracy „organicznej”. Stąd może pochodzić tak pozytywna ocena „polityki krakowskich konserwatystów, tzw. stańczyków w końcu szesnastowiecznych lat oraz w siedemdziesiątych i osiemdziesiątych latach” — stąd tak pozytywny stosunek do dzisiejszej rzeczywistości.

Nie tylko jasna postawa pozytywna stanowi urok tej książki, jest jej nieprzemijająca wartość. Grabski rzuca swe koncepcje na tło rozważań i wspomnień z dziejów Polski tego okresu, w którym „magna pars fuit” — a jest to przeszło pięćdziesiąt lat. Od pierwszych wspomnień, od dziejów socjalizmu polskiego w Niemczech w końcu ubiegłego wieku, do ostatnich — konferencji w Moskwie 1944 i 1945 roku, wszędzie potrafi podać nowe szczegóły, dać nowe oświecenie. Polskiej nauce i polskiej polityce należy, czytając te karty, życzyć jednego, by przyszły historyk mógł korzystać z pamiętników Stanisława Grabskiego.

gi

DUCHY POETÓW PODSŁUCHANE

ADAM MICKIEWICZ

SONET

Kiedy pochylałem czoło w północnej godzinie,
By dziennej doby przebiec minione przygody,
Wtedy twój uśmiech wdzięczny wśród mlecznej jagody
W płomieniu świecy błyska we wspomnień godzinie.

Bliską mi jesteś, drogim dźwięk głosu co płynie
W myśli mojej, jak rzeka na swe z morzem gody.
Gadam ja z tobą wówczas, pomny twej urody,
Marząc, że piękność twoja dla mnie jest jedynie.

Lecz kiedy o południu wstępuję w twe prógi,
Ach, gdzież są wówczas zbiegłej nocy zapowiedzi:
Fraki szlepczka, srebrne wciąż dzwonią ostrogi —

Twą twoją obojętną, wzrok jej nie prześledził,
Salon jest pełen, rój w nim zalotników mnogi:
Krok swój cofam, gdy wziąłem za złoto — blask miedzi.

JULIUSZ SŁOWACKI

NIEZNANE STROFY „BENIOWSKIEGO”

Kiedy zapłoną skrzące komet miotły
I księżyc krwawo nad borem zaszczeka,
Niechaj te wonie, co bluszczem opłotły
Duszy mej rubin, niech wiatr co narzeka —
Uderzą razem, jak złociste kotły,
I niech rozleci się melodii rzeka,
Bom jest jak cyprijs, co smętnie się kłoni,
W swój obraz patrząc, srebrnej rzucon toni.

Już ponad gwiazdy wystrzelała żagwie
A niebo płacze straszliwym pożarem,
Kiedy chmur klucze, jak stalowe łagwie
Biegną go zatłuc kłębówiskiem szarem
Popiołów mrocznych i wstąg czarnych. Tak wie
Wędrowiec nocą zabłąkany w harem,
Gdy oczy dojrzy, co płoną jak szmaragd,
Ze mu zatoną wśród fałdów katarakt.

Więc nie czekajcie na owe miotlika,
Na barw złociste i zapachów tany
Wśród nocnych cieni. Niechaj jak kołyska
Purpury pełna, w rój przybrana wiany
Trumna tu moja wśród skrzydeł zabłyska
Białych aniołów, które jak kurhany
Stać będą, choć nie z ziół ni kwiatnych plastrów,
Lecz z serafickiej jaśni alabastrow.

Później, gdzieś w kręgach szafiru, opalu,
Gdzieś w smugach dziwnych, które gwiazdy niosą,
Ujrzyj się z sobą. W sercu jak w koralu
Będę miał znajmę wyrzute by kosą
Krzyżyk wycięty w murawie — w twym szalu
Niezapominek pokropionych rosą
Rzucisz niebieskie i srebrne naręcze,
Znamię w nich jaśń ich cicho zajęczę...

SEN

Marzyłem dziwny sen... Brązowe słupy duchów
Na srebrnych stały ołtarzach... na kształt puchów
Łabędzich skrzydła miały zwłoczne — a włosy
Tkane z błyskawic... by w mgłę zórwać ich głosy
Słyszalem z głębi świątyni... — później, jak dzwony
Z cerkiewki — pamiętam — nad Horyniem skropionej
Reszta tęczy po burzy. — Wołały te duchy
Na mnie, skrzydłem wiały witać... jam był głuchy
I z ziemskiej pościeli wstać nie mogłem... do głąb
Przykuty... nie do skał Prometej... oblok siny
Spłynął później i wówczas ujrzałem ich lica —
Były krwawe... jak w tumanach pełnia księżyc
Nad borem sosen... jak w dwoje złamany rubin...
I zrozumiałem, że to nie pała cherubin
Obliczem, ni duch inny, co w Bogarodzicy
Postawion kręgi... Te duchy w Danta krynicy
Czerpały wodę potępię, a przyszyli kusię,
Skrzydeł wianiem podstępny ku sobie przymusię...
Mego ducha... co we śnie ogląda zaświaty —
Ledwo mę ta myśl spotkała, a one jak kraty
Rdza... posypały swe oblicza... Skrzydeł miotły
Stały się nagie... by drzewa, z których wypłotły
Wiatry jesieni liście... Te błyskawice
We włosach złotych z sykiem zagasy jak świece...
I syk w nich trwał... bo były z nich węże splamione
Jadem złotym... w drgającą zwinie koronę...
Tak szatan syczał przez nie, że darmo się trudził...
Oddechem mnie zorzy anioł mój stróż obudził.

podsłuchuje KAZIMIERZ WYKA

CYPRIAN NORWID

PSALM NA GLOBIE

1.
Pośród siarkowych błyskawic zamieci
Co dłużej piorunów były zgrzytające,
— Mojżesz na górze, która w zodiak świeci
Praw miotał glazy w świata różne końce
One iż wstydu spadały u powiek
Ludu, co zbłądził, choć czekał ich co wiek.

2.
To bywa w biblii zapisane księgach — —
Te zaś mędrcowie wzięli na dyssekcję,
Rzekąc, że — jeno w barbarzyńskich kręgach
Ludy przez one wiodły się dyrekcje,
A wiek nasz pełen postępu i — pary
Nie daje baśniom — i prorokom! — wiary...

3.
Czasów za sobą mamy abecadla
I nie patrzymy wieszczych ogólników!
Sybille?! — blade są widziadła,
Jak ten Komandor z hiszpańskich pomników!
A my, błyskotki dzierżąc elektryczne,
Duchy uczynim: — galwanoplastyczne...

4.
Tak dziś szarańcze co pożarły nieco
Nocy, jakoby spróchniałych gałązek,
Wzrostem swym mierząc, myślą że żdźbel związek
Dębom jest równy, co szarpają nieba...

5.
Lecz w kępie chrustu, albo zgola — chwastu
Pan nie zaplonie, jak w biblijnym krzaku —
I apostołów nie będzie dwunastu,
Bo cedr nie wzrośnie, gdy nasiejesz — maku.
Stopy mi tylko plenię jakieś małe
Płacze i wiąże — — — — —
— — — — — pychą oszalałe.

6.
Lecz czas nadbieży, gdy w trąby uderzą,
I stanie się, w czym Pismo jest wzorem:
— Młasta podobne Jerzychowym wieżom —
— Z grobów się wzrosną, co pobici morem!
Lecz nim te zorze poczną się jedwabić,
Czymżeż, robactwo progressu cię zabić?!

7.
Więc patrzę w puste arki coraz skorzej
I pył przesiewam, deptam stopą różną —
Jak ten, co szuka obecności Bożej
W listeczku każdym — nie szukam na próżno!
Garść piasku globem jest całym zmiecionym,
A glob tym piaskiem w sfery podniesionym.

8.
Więc — coraz bliżej mi to obce dalej,
Które z otchłania jest rozpuszczające;
Muszki wśród łzawych zasklepie opali...
Jakby gdzieś w mętach mgieł biegunnych słońce.
I dnl, że żyje, najmniej nie są moje
— Gdy cieniem padam — choć jak palma stoję.

Pisałem w Europie, roku od Zmartwychwstania Pańskiego 1813-go.

EYZKI

I
Pani bo miałaś suknię w dziwne tutele,
Jak te niewiasty z portretów Barbeny —
Któż w tańcu sukni twój ułtyma Thule
Zdeptał, jak nie ja? — wśród balowej sceny...

II
A kiedy z gwarem do uczty siadano,
Wokół obrusów, jak polarne śniegi,
Tylko jam o stół zawiadził kolano —
Wino pociekło — między zastaw brzegi —

III
„Ha, rzekłem, może to takie me losy?!”
I chciałem słowem zaufać sąsiadce,
Odrzekła zaś: „O, są w tej kupie włosy —”
Zbladłem, bom łysiał — jakby orzeł w klatce.

IV
Później plecyste z ręczną reką sługi
— Nie pomnę dziś, cietrzew to był? pentarka? —
Zleciało, aż stół szeroki i długi
Pełen był ptactwa, jak Noego arka.

V
Więc nie nie mówić, nad stołem się schylić.
Lecz nie. Miał noża, którym mięso kroje.
Zamiast widelca, by nim się posilić:
Świecił przede mną z herbem tyżek dwoje.

VI
O Pani! Wdzięcznym, jak pomnisz — rzecz rzadka! —
Ze mięs nie jadam, żem wegetarianin.
Lecz jak u Turków dla swych dzieci matka
Mamżeż pałcam i rwać łęsy baranin?...

VII
Tymczasem gwiazdy w teleskop się leją,
Glob gdzieś pomyka w opłoty węzowe —
Od konstelacji co burzami wieją,
Chmur dartych grzmotem zwisa ramle płowe...

WYBRYKI „TYGODNIKA WARSZAWSKIEGO”

Zwróciliśmy już uwagę na niewłaściwy stosunek „Tygodnika Warszawskiego” do wybitnego pisarza polskiego. Dziś notujemy niewłaściwy stosunek tego pisarza do polskich więźniów politycznych i do Stolicy Apostolskiej.

Wiadomości, nie wiadomo o ile ścisłe, o interwencji Papieża na rzecz Franka komentuje się tam następująco: „Stolica Apostolska na prośbę skazańca, choćby był niewątpliwym zbrodniarzem, zwraca się do właściwego rządu o ulaskawienie. W okresie wojny rząd polski w Londynie zwracał się b. często do Watykanu o interwencję za pomocą wszystkich środków, jakimi rozporządza Stolica Apostolska, w drugim, właśnie Franka, czysto zdawkowa, zwyczajowa”. W piśmie, które chce być katolickim, traktowanie postępowania Stolicy Apostolskiej w sprawie tak istotnej jak życie jednostki — jako gestu grzecznościowego bez treści — wydaje się czymś osobliwym. Watorów moralnych Watykanu nie oceniają tak nisko nawet jego najzagorzalsi przeciwnicy.

gi

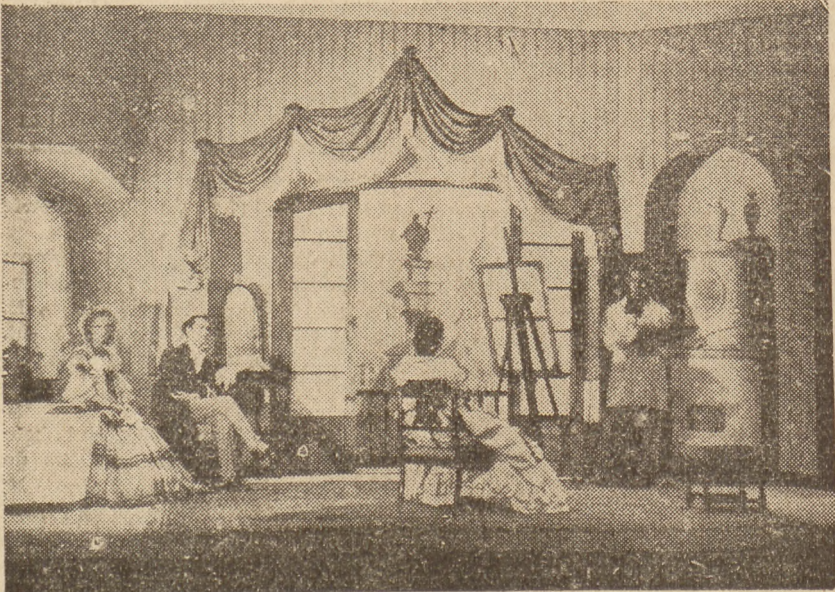
Z RYNGRAFEM, CZY BEZ RYNGRAFU?

Jest to sprawa drobna, ot taka jak z tym granatem zaczepnym, o który walczyli przedstawiciele „Pokolenia” z jakimś panem. Ale ta drobna sprawa jest sprawą dość specyficzną, bo chodzi przy tym o coś więcej, chodzi o symbol. Pan Paweł Jasienica pisze w „Tygodniku Powszechnym” (nr. 85 „Tradycja A. K.”): „Wśród żołnierzy AK rozpowszechniony był zwyczaj noszenia na mundurach ryngrafów Najświętszej Marii Panny. Nie był to przejaw zamiłowania do zewnętrznej dekoracji, lecz symbol”.

Byłem żołnierzem AK, przeszło rok służyłem w partyzantce AK, zetknąłem się z setkami i tysiącami żołnierzy i oficerów, byłem na wielkiej koncentracji partyzanckich oddziałów AK koło Nowego Miasta w czasie powstania warszawskiego — niech mi pan wierzy, panie Pawle, nie widziałem ani jednego ryngrafu na mundurze, naprawdę nie! Być może, że inaczej było w Warszawie, tego nie wiem. Niech pan nie wierzy w opowiadania i nowele młodych pisarzy, którzy z ryngrafem i szabłą bawili przez miesiąc lub dwa w lesie: tam było zupełnie inaczej.

tar

„MAJĄTEK ALBO IMIĘ” KORZENIOWSKIEGO W POZNANIU



Teatr Polski w Poznaniu na otwarcie sezonu wystawił sztukę J. Korzeniowskiego „Majątek albo imię”. Na zdjęciu scena z aktu III.

WINA I KARA

Artykuł wstępny pt. „Życie i śmierć” („Tygodnik Powszechny”, nr 44) poświęcony jest „Zaduszkom”. Czytamy tam m. in., że „Przed 1 1/2 rokiem pojawiło się w Krakowie drukiem dziełko filozoficzne pt. „Sens istnienia”. Streszczało się w takich zdaniach, jak: „istnieje tylko materia” (str. 94), „przeciw aktualnemu istnieniu Boga przemawia to, że gdyby istniał...” (str. 104). W parę miesięcy potem (październik 1945) nastąpiła śmierć autora”.

Z treści i układu zdań wynika, że rychła śmierć autora nastąpiła z powodu napisania owego dziełka i użycia zdań zacytowanych w artykule „Tygodnika Powszechnego”. Takie wrażenie ma nawet najbardziej lojalny czytelnik. A może o to chodziło? Naprawdę wstyd.

tar

„MAJĄTEK ALBO IMIĘ” KORZENIOWSKIEGO W POZNANIU



JERZY RAKOWIECKI (Antoni Licki), JANUSZ WARMIŃSKI (Karol Zytowski) i ALEKSANDER DZWONKOWSKI (bracia Janusz)